

Grzegorz Gortat

Świt Kambriddów

Wydawnictwo Siedmioróg

Copyright © by Grzegorz Gortat

*Córce Agatce,
która pierwsza
wyczarowała Kambriddów*

Główne postacie

Mikor – władca Kambriddów

Hisab – ojciec Mikora, wielki warong Kambriddów, twórca zjednoczonego państwa

Aszter – opiekun i przyjaciel Mikora

Amsa – miłość Mikora

Miszra – druh Mikora

Kwapra – wielki kapłan

Nersefit – dowódca królewskiego hufca

Ominia – córka Nersefita, pierwsza miłość Mikora

Sigir – znawca sztuki lekarskiej

Husadam – władca Mammonitów

Prolog

*Nie wyprzedzaj swych dni,
Byś nie umarł na wieki.
Nie wyważaj bram Krainy,
Bo zostanie przed tobą zamknięta.*

Księga Kri, Droga Wędrowca 2, 1

Czas wolno płynie. Czekam cierpliwie, nic mnie nie ponagla. Wszystko mam już za sobą. Pozostało mi tylko liczenie mijających chwil, bez konieczności gonienia tego, co oddala się z każdym dniem, przymusza oporne ciało do kolejnego wysiłku. Mój czas dobiegł końca.

Jestem jak starzec, który stoi jeszcze po tej stronie gór, lecz z każdym oddechem coraz bardziej przynależy do krainy po drugiej stronie szczytów. Podobny jemu, a przecież jakże inny! Szczęśliwy Kambridd, który, wydając ostatnie tchnienie, wierzy, że gdy zgaśnie płomień pogrzebowego stosu i żarłoczne kirhy napelnią sobie brzuchy jego doczesnymi szczątkami, wzniesie się na ich skrzydłach ku wierzchołkom Samalaków i znajdzie się po drugiej stronie. Nie dana mi jest jego wiara i nadzieja na nowe życie. Opuściły mnie na zawsze, gdy stanąłem na najwyższym ze szczytów i wybiegłem wzrokiem ku krainie, której obraz każdy Kambridd nosi w sercu od dnia narodzin po kres swej wędrówki. Biada mi! Zobaczyłem, co zobaczyłem i przejrzawszy na oczy, czuję się tak, jakbym stracił wzrok. Bo oto zamiast jasności ujrzałem mrok i poruszam się teraz niby ślepiec po drodze, której nigdy nie było.

Przeklęta niech będzie chwila, gdy porwałem się na szaleńczy krok, który pozbawił mnie nadziei! Przeklęty Kwapra, przez którego podstępne knowania dałem posłuch zazdrości i nienawiści, najwierniejszym przyjaciółkom śmierci. Przekleństwo, wieczne przekleństwo niech spłynie na

Mammonitów, którzy mieczem odebrali mi to, co kochałem najbardziej. Oby szczęśli w pomroce dziejów, nie wydawszy na świat nowego pokolenia.

Lecz kimże jestem, by rzucać przekleństwa na innych? Ja, com sprzeniewierzył się samemu sobie, stał się zakładnikiem namiętności i zgubnych pragnień i przyczynił się do śmierci ukochanych osób? Złamałem niemal każde ze świętych praw, zdeptałem Księgę i tradycję, z cnoty męstwa uczyniłem pośmiewisko. Gdy spojrzę w głąb duszy, widzę ogrom win, których się dopuściłem. Jeśli ktoś sprawiedliwie zasłużył na klątwę, to ja sam. Tak się też stanie. Odchodzę nie zostawiwszy potomka, więc imię moje umrze wraz ze mną. Czyż nie dość sroga to kara? Wszak jeszcze do wczoraj sława waronga Mikora sięgała dalej niż granice wyznaczone przez skrzydła najbardziej lotnych kirhów. Jutro imię władcy Kambriddów pamiętać będzie tylko garstka przyjaciół i liczne zastępy wrogów. Czyż nie dość sroga to kara, powtarzam? Pytam sam siebie i sam sobie odpowiadam, bo któż lepiej niżli ja zna mroczne zakamarki mej biednej duszy. A zatem nie! Zasłużyłem na karę stokroć surowszą!

Gdybyż śmierć mogła zmasać część moich haniebnych przewinień... Nawet i ta pociecha została mi odebrana. Umrę jak każde z pospolitych stworzeń, bez nadziei na odkupienie win. Moje prochy zmieszają się z popiołem łuskowatych tarogów, pełzających rangów, piskliwych stiraków i kirhów. Nie mam nadziei na zbawienie. Naczynie, po które pokolenia Kambriddów sięgały z wiarą w chwili śmierci, okazało się puste. Gdy dostawszy się z mozołem na najwyższy szczyt Samalaków wybiegłem spojrzeniem przed siebie, miast obiecanej Krainy Mons ujrzałem kamienne pustkowie pokryte kępami mizernych roślin. Przekleństwo, przekleństwo, przekleństwo!

Dziesiątki pytań drążą mi głowę niczym zastępy obleni toczące owoc durianu. Nie sposób się od nich uwolnić.

Skoro kraina zbawienia okazała się mrzonką, to misterna sieć wiary tkana przez dziesiątki pokoleń strzępi się oto i rwie niczym znoszona szata.

Gdzie tylko spojrzę, miast gładkiej tkaniny widzę szkaradne łaty przyszyte niezgrabnie i szpetnie. Choćbym zamykał oczy, widzę je dalej.

Zatem brzemień grzechu, z którym każdy Kambridd rodzi się i umiera, byłoby jeno wymysłem?... Błuznierstwo Balbieta i Baltydery, które przykuło nas na zawsze do ziemi byłobyż niczym więcej, jak krzywym zwierciadłem myśli szukającej usprawiedliwienia dla nieszczęść, które stają się naszym udziałem? Czyż zatem, jeśli nie ułudą, jest obraz Stworzyciela?

Wybiegam ze spowitej mrokiem jaskini, stoję nad brzegiem przepaści. Słońce jeszcze świeci, ale czerwona poświata na dnie doliny zwiastuje bliski już koniec dnia. Trącam nogą kamień – spada z łoskotem na dno przepastnej otchłani. Jutro z samego rana pójdę jego śladem.

Wracam do jaskini i okrywam się futrem. Miękkie futro manbesy, pokryte gęstym włosiem i okolone bujną grzywą, ochroni mnie przed chłodem nocy. Jasnobrunatna skóra zwierza, naznaczona śladem mej włóczni, to jedyne, co łączy mnie jeszcze ze światem.

Nieprawda. Pozostały mi wspomnienia.

Skrawek nieba wypełniający prześwit jaskini powoli ciemnieje. Wiatr przegania granatowe chmury, nadając im fantazyjne kształty. Przesuwają się przed moimi oczami. Widzę wojownika Melkama, jak pędzi na grzywaczu przynaglając go ostrzem magicznego rażca do galopu. Z chmurzastej płataniny wyłania się łeb zendo, wielki niczym góra, zbrojny w potężne zębiska. Za potworem ciągnie korowód postaci, a każda zdaje się patrzeć na mnie z wyrzutem i przyzywać bezgłośnie, bym dołączył do pochodu. Przodem kroczy Hisab, wielki warong Kambriddów, który dał mi życie. Potrząsając brodą gęstą jak grzywa manbesy wiedzie cienie mych biednych braci. Za nimi Miszra, skulony i cierpiący, tak jak musiał wyglądać w godzinie śmierci. U jego boku podąża Amsa. Spogląda na mnie i dobrze wiem, co chce powiedzieć.

Zamykam oczy, ale obraz nie znika. Widzę wszystko tak wyraźnie, jakby działo się wczoraj. Nie ucieknę od przeszłości. Nim nadejdzie świt, muszę przeżyć wszystko jeszcze raz.

Niech więc tak się stanie.

STRONA ZIEMI

Część pierwsza

*Krzyk jego brzmi jak głos wojennej trąby,
Wrogowie pierzchają na dźwięk jego imienia.
Lecz i on stanie kiedyś na skraju otchłani
I stoczy się jak ziarnko piasku na pustynię bez kresu.*

Księga Kri, Dzieje 12, 4

1

Ojciec nadał mi imię Mikor, co znaczy ósmy, urodziłem się bowiem jako ósmy syn w królewskim rodzie Hisaba. Mój wierny Aszter, którego winienem nazywać raczej przyjacielem niżli sługą, opowiadał mi później, że w trzy dni po mych narodzinach ojciec zawinał mnie w ciepły pled, przytroczył cenne zawiniątko do grzbietu grzywacza i pomknął na górę Ałtu, by pokazać mi granice swego królestwa.

Podróżny, który w owych czasach pragnąłby przemierzyć ziemię waronga Hisaba od krańca do krańca, maszerować by musiał bez wytchnienia dwadzieścia dni i nocy, nim wreszcie dopiąłby celu. Na południu sięgały aż po Wielki Bór Hitarra, który ciągnął się ciemną gęstwiną drzew i chaszczów, nieprzeniknioną i groźną, wzbudzającą strach nawet u najdzielniejszych batangów zaprawionych w sztuce wojennej. Wschodnią granicę tworzyło szerokie rozlewisko licznych odnóg rzeki Marry, obfitujące w błota, bagna i grzęzawiska, przez które nawet żyjące w wodzie tarogi z trudem odnajdywały bezpieczną drogę. Od zachodu granica dochodziła do podnóża świętych Samalaków, których niebotyczne szczyty tylko skrzydlate kirhy zdolne byłyby dosięgnąć. Dalej biegła wzdłuż Marry, która spływała z gór i rozlewała się

szeroko, oddzielając kraj Kambriddów od ich odwiecznych wrogów Mammonitów.

Przed równo trzydziestu laty, kiedy mój ojciec Hisab wkraczał w dwudziesty rok życia, żyzna ongiś ziemia Kambriddów przypominała owoc toczony przez robaki. Trzech braci Hisaba prowadziło z nim i między sobą nawzajem zażarte walki. Żądni bogactw i władzy, nadali sobie samowładczo tytuł ronga przynależny pierwotnemu Hisabowi i podzieliwszy kraj na podległe sobie dzielnice, urządzali bratobójcze wyprawy. Za życia ledwie jednego pokolenia kraj pogrążył się w chaosie i biedzie, jakich nie znał najstarszy z Kambriddów.

Kiedy kraj najechali Mammonici, napotkali znikomy opór. Trzej bracia Hisaba polegli w boju, do ostatka zaciekli w nieprzyjaźni wobec siebie, nie godząc się na połączenie sił i wspólne wystąpienie przeciwko najeźdźcy. Ten zaś przez nikogo nie wstrzymywany posuwał się naprzód, dopełniając dzieła zniszczenia. Żywiołem Mammonitów był ogień; gdziekolwiek przeszli, zostawiali za sobą ziemię spaloną do ostatniego drzewa i ostatniego domostwa. Widmo zagłady zawisło nad krajem, który Stworzyciel uczynił przedsiönkiem do Krainy Mons i przyzwolił mieszkańcom na wymawianie swego imienia. Setki najdzielniejszych batangów zginęło w nierównej walce, daremnie wypatrując przybycia wielkiego wojownika Melkama. Łudzili się do ostatniej chwili, że zjawi się i dobywszy magicznego Jaftera powiedzie ich do zwycięskiego boju, tak jak uczynił był to przed wiekami. Ale batang Melkam nie wstał ze snu, do którego ułożył go Stworzyciel. Zdawać by się mogło, że Pan Krainy Mons odwrócił się od Kambriddów. Najodważniejsi z odważnych tracili nadzieję widząc, jak zlatujące z gór kirhy wyszarpują z ciał zabitych ciepłe jeszcze wnętrzności, a tarogi zwabione zapachem czerwi wypełzają z wodnych ostępów, by napełnić brzuchy łatwą zdobyczą.

W taki to czas Hisab wspiał się samotnie na górę Altu i pozostawał tam przez trzy dni i trzy noce. Kiedy wrócił do rodzinnej ostoi nazwanej Mendera, przywdział skórę manbesy, naciągnął na głowę okolony grzywą łeb zwierza i dosiadł najokazalszego grzywacza. Gęsta broda Hisaba spletała się z grzywą

manbesy i nikt, kto go w tamtej chwili widział, nie potrafił zaiste powiedzieć, czy ma przed sobą Kambridda czy okrutnego władcę Hitarry.

Hisab ruszył w milczeniu, nie oglądając się, czy ktoś za nim podąża. Jechał z obnażonym mieczem przez zniszczony kraj, podobny w groźnym majestacie do Melkama, jak tamten mocarny i niosący zapowiedź zwycięstwa. Na ten widok z ziemnych kryjówek i z leśnych ostępów poczęły się wyłaniać zastępy ocalałych Kambriddów. Ziemia, która jeszcze wczoraj zdawała się wymarła, ożyła stukotem kopyt grzywaczy i szczękiem ostrzonej broni. Kiedy pochód Hisaba zatrzymał się na ostatni przed bitwą postój, liczył osiem tuzinów wojowników na grzywaczach, cztery razy po dziesięć tuzinów batangów pieszych i sto tuzinów Kambriddów nie zaprawionych jeszcze w boju. Hisab uderzył pod osłoną nocy, gdy obozowisko Mammonitów oświetlały ogniska, a wartownicy znużeni czuwaniem i rozleniwieni ciepłem płomieni zapadli w mocny sen. Jeden po drugim padali pod ciosami żądnych zemsty Kambriddów, nie wydawszy nawet jęku. Hisab wraz z sześcioma najmężniejszymi druhami przekradł się bezszelestnie pod wotroki Mantery, wielkiego ronga Mammonitów, oznakowany dwoma królewskimi mieczami zatkniętymi u wejścia. Otoczyli wotroki i na znak Hisaba przebili skórzane ściany namiotu długimi dzirgytami o ostrzach twardych jak zęby tarogów. Hisab wpadł z obnażonym mieczem do namiotu i wywlekł na plac ciało Mantery. Obciął mu głowę, nadział ją na drzewce namiotu i podniósł wysoko. Na ten znak batangowie wydali zwycięski okrzyk. Wyrwani ze snu Mammonici wylegli z wotroków, chwytając w pośpiechu za broń. Widok żalosnych szczątków władcy odebrał im wolę walki. Rzucili się do ucieczki, podobni stadu dzikich burkasów, które po utracie przywódcy rozpierzcha się w bezładzie. Ci, którzy nie polegli od razu, stali się łatwym łupem dla goniących ich myśliwych. Resztę zaś niedobitków zwycięzcy zapędzili na rozlewiska rzeki Marry, by ich śmierć uczynić okrutniejszą. Tak bowiem jak ogień jest żywiołem Mammonitów, tak woda jest ich przekleństwem – szli na dno niczym kamień, nie zdążywszy nawet zawołać imienia swego poczwarnego bóstwa o dwóch obliczach. Inni mieli mniej szczęścia i ginęli w paszczach

tarogów lub od ukąszeń rangów. Tak oto w ciągu jednej nocy wojownicy Kambriddów pod wodzą Hisaba pokonali armię dziesięć razy od nich liczniejszą.

Hisab nie poprzestał na jednym zwycięstwie. Z oddziałem wiernych sobie Kambriddów przemierzył kraj wzdłuż i wszerz, by karać popleczników swych wiarołomnych braci i dusić zarzewia nowych buntów. Ale wszędzie, dokąd przybywał, witano w nim zwycięzcę i nowego ronga. Odjeżdżając zostawiał w każdej ostoje posłusznych mu batangów. Po powrocie do rodzinnej Mendery nadał sobie tytuł waronga i wieść o tym kazał rozgłosić w całym królestwie. Nie znalazł się nikt, kto odważyłby się powątpiewać, czy zwycięski Hisab ma prawo do tytułu „władcy wszystkich władców”.

Pod rozumnymi i silnymi rządami Hisaba w kraju zapanował pokój, a wraz z nim zagościło bogactwo, jakiego Kambridzi nie zaznali nawet za czasów Melkama. Ostoje rozrastały się, mocne gospodarnością mieszkańców i bezpieczne orężem strzegących je batangów. Miast skórzanych wotoków, które wiatr od gór nieraz porywał jak zwiędłe liście, zaczęto wznosić solidne biety z drewna, osadzone na wkopanych w ziemię palach. Tak budowane domostwa wychodziły zwycięsko z burzowych deszczów i huraganów i zdolne były przetrwać lata.

Jak rzekłem, urodziłem się jako ósmy syn Hisaba. Kiedy przyszedłem na świat, ojciec wkraczał w czterdziesty rok życia, a jego pierworodny potomek Mebrat kończył lat siedemnaście i wyrastał na dzielnego młodzieńca, zdolnego podźwignąć trud rządzenia krajem. Również jednak w tydzień po mych narodzinach zginął od ukąszenia ranga we własnym łożu i miast królewskiego siedlca doczekał się królewskiego pogrzebu. Hisab na znak żałoby obciął długie włosy i złożył je na pogrzebowy stos, by drogę Mebrata do Krainy Mons uczynić łatwiejszą. Gdy ostatnie kirhy wzbły się w niebo unosząc szczątki mego nieszczęsnego brata, Hisab powrócił z dawną energią do rządzenia krajem. Począł przemyśliwać nad wyborem nowego sukcesora, który zasiądzie po nim na siedlcu w Menderze. Wciąż miał siedmiu synów, mógł więc patrzeć z ufnością w przyszłość. W zgodzie z prawem starszeństwa

obrał Sahyna, który choć kończył lat dopiero piętnaście, mógł śmiało stawać w szranki z batangami z ojcowskiego hufca. W sześć miesięcy po śmierci najstarszego brata Sahyn stracił życie pod kopytami grzywacza, który rzuciwszy jeźdźca na ziemię stratował go, tocząc pianę z pyska i plwając ogniem niczym potwór zendo.

Nad królewskim rodem Hisaba zawisło przekleństwo. Kolejni potomkowie waronga ginęli w nierównej walce z przeciwnikiem, któremu nawet najprzedniejsze hufce Hisaba nie były zdolne stawić czoła. Sigtar zginął pod kamienną lawiną, Tanter umarł na polowaniu od ran zadanych przez manbesę, Hamus trawiony dziwną gorączką wyzionął ducha po dwóch dniach choroby, Symarak zaś stracił życie przygnieciony drzewem nadłamanym przez wicher.

Ojciec posypał głowę ziemią i wraz z kapłanem Kwaprą wyruszył na górę Altu, by na jej szczycie zapalić błagalny stos. Przez siedem dni i siedem nocy zanosił z Kwaprą żarliwe modły, upraszając Stworzyciela, by odwrócił zły los od dwóch pozostałych królewskich potomków. Lecz przekleństwo nie odstąpiło Hisaba. W dziesięć dni po powrocie z góry Altu siedział przy łożu mego brata Mykina i przyglądał się bezsilnie, jak z ust i nosa chorego wypływa gęsta czerw. Zanim weszło słońce, Mykin skonał na rękach ojca i udał się tam, dokąd odeszło przed nim jego sześciu braci.

Miałem wtenczas pięć lat i dobrze zapamiętałem ten dzień. Ojciec posadził mnie na kolanach i gładząc moje włosy, drugą ręką tulił mnie do siebie z taką siłą, że brakowało mi tchu. Powtarzał coś niezrozumiale, jakby się żarliwie modlił albo uskarżał przed kimś niewidzialnym.

Kiedy oprzytomniał, usadził mnie na siedle i przykucnąwszy, przemówił do mnie dziwnie twardym głosem:

– Posłuchaj dobrze, Mi. Nie wiem, kiedy mój czas się dopełni. Ale czy stanie się to jutro, czy za lat dwadzieścia, ty zajmiesz moje miejsce. Musisz okazać się godny próby, która cię czeka.

Przerwał, dźwignął się na nogi i wsparty na kralcu spojrzął w stronę Samalaków, których dalekie szczyty majaczyły w otworze ościeżnicy.

Widziałem jego długą brodę, gęstą jak dzikie zarośla Hitarry, i olbrzymie dziurki w nosie, które zdawały mi się równie nieprzeniknione jak ciemne wody Marry.

– Jeśli Stworzyciel odbierając mi siedmiu synów chciał mnie ukarać za sobie znane przewinienia, to wierzę, że poprzestanie na tych siedmiu ranach. Pan Krainy nie zadaje niepotrzebnych cierpień. – Przyjrzał mi się ze zmarszczonym czołem. – Winienesz się gotować, by dzień twego królowania nie zaskoczył cię. Zacznieś od jutra.

Nazajutrz przyprowadził do mej komnaty męża, który mym dziecięcym oczom zdał się wielki niczym góra Ałtu.

– Powierzam cię opiece Asztera. Słuchaj go we wszystkim i bądź mu posłuszny jak ojcu. W całym królestwie nie znajdziesz wojownika równego mu wprawą we władaniu bronią i umiejętnością używaniu rozumu. Z pomocą Stworzyciela, przy nim będziesz bezpieczny.

Od tego dnia Aszter nie odstępował mnie na krok. Współ ze mną spożywał posiłki, asystował mi w każdej niemal czynności i spał obok mego łóża, zagradzając wejście do komnaty swym mocarnym ciałem. Choć na twarzy pozbawiony zarostu, zwyczajem wojowników nosił długie włosy splecione w gruby warkocz, który na czas walki czy ćwiczebnych zapasów upinał na głowie. Ubierał się zazwyczaj po żołniersku w szerokie nargoty i ściągnięty w pasie kaftan o luźnych rękawach.

Wkrótce poznałem historię jego życia. Urodził się w wieśniaczej rodzinie w dalekiej ostoii nad wodami Marry. I tam też dopełniłby zapewne swego żywota, gdyby nie siła, którą się odznaczał. Podnosił bez wysiłku głaz, nad którym mozoliło się daremnie pół tuzina rośłych mężczyzn, i jednym ciosem między rogi powalał najtęższego mlaskura. Wieść o jego niezwyklej sile dotarła z czasem do Mendery i warong Hisab zapragnął włączyć mocarza do swego przybocznego hufca. Aszter okazał się nie tylko siłaczem, ale i nader zręcznym wojownikiem. Zadziwiał dowódców biegłością w posługiwaniu się wszelakim orężem oraz łatwością, z jaką zgłębiał kolejne tajniki sztuki

wojennej. Od waronga po zwykłego batanga, wszyscy zadawali sobie pytanie, skąd u wieśniaczego syna tak wielki zmysł do wojennego rzemiosła.

Aszter miał lat dwadzieścia pięć kiedy po poznałem i dosłużył się już tytułu bataranga, czyli dowódcy chorągwi. Królewski hufiec liczył sześć chorągwi po dwanaście tuzinów batangów każda; dowodził nim wabatang, wojownik obierany spośród mężów najdzielniejszych i najbardziej zaprawionych w boju. Nikt nie wątpił, że pewnego dnia ów chwalebny trud stanie się udziałem bataranga Asztera i że jego imię wymawiać będą z trwogą Mammonici. Wszelako rola, którą w trosce o mnie wyznaczył Aszterowi mój przezorny ojciec, odebrała mu nadzieję na osiągnięcie słusznie należnej mu pozycji.

Mąż surowych obyczajów i wzór żołnierskich cnót musiał zadowolić się rolą piastuna. Jednakże gdy przywołuję w myślach nasze pierwsze spotkanie i wszystkie późniejsze lata, nie przypominam sobie, by choć raz okazał mi niechęć czy lekceważenie. Miałem w nim nie tylko troskliwego opiekuna i niezrównanego nauczyciela, ale też i brata. Zastępował mi matkę, zmarłą w tydzień po wydaniu mnie na świat, oraz ojca, który zajęty sprawami królestwa z rzadka znajdował dla mnie czas.

W dniu mych szóstych urodzin odbywałem pod czujnym okiem Asztera naukę jazdy na grzywaczu. Zwierz, którego mi wybrał, choć dorodny i silny, był łagodnego usposobienia. Lecz widać każde ze stworzeń ma poza jasną także i ciemną naturę, bo grzywacz raptem wierzgnął i porwał się do szaleńczego biegu, unosząc mnie ze sobą. Zanim zdążyłem się na dobre przestraszyć, Aszter dogonił grzywacza i jednym skokiem znalazł się za mną na jego grzbiecie. Objął mnie ramieniem, po czym tak mocno ścisnął udami boki zwierza, że ten zachwiał się i przyklęknął, jakby zginał kolana przed potęgą jeźdźca.

Aszter zszedł mnie z grzywacza i upewnił się wprzód, że nie ucierpiałem w niebezpiecznej przygodzie. Następnie począł gładzić pysk zwierza i mówił coś przy tym ściszonego głosem, a grzywacz spoglądał na niego z uległością właściwą stworzeniom uznającym wyższość pana.

Przyglądałem się tej scenie i duma rozpierała mnie na myśl, że mąż o nadludzkiej sile pozwala mi nazywać siebie przyjacielem.

– Jesteś prawdziwym mocarzem, Aszterze – wyszeptałem. – Gdybyś tylko chciał, mógłbyś go bez trudu zabić.

Przyjrzał mi się z namysłem. Przywiązał grzywacza do drzewa i usiadł na ziemi, dając mi znak ręką, bym spoczął naprzeciw niego.

– Jesteś mądrym chłopcem, Mi, posłuchaj więc, co ci rzeknę. Pośród obfitości wszelakich stworzeń Pan dał życie mnie i temu grzywaczowi. Mnie uczynił panem, grzywacza zaś posłał, by mi służył najlepiej jak potrafi w zgodzie ze swą naturą. Słuszne jest zatem, że na czas naszej ziemskiej wędrówki to on nosi mnie na swym grzbiecie. Ale gdy przekroczymy bramę Krainy i staniemy przed obliczem Stworzyciela, życie grzywacza i moje będą tyle samo warte, bo z jednego źródła pochodzą. Czy godzi się więc, by dla kaprysu albo w chwili gniewu odbierać to, co nie jest naszą własnością?

Podniósł się i skierował wzrok ku Samalakom, których dalekie wierzchołki ginęły teraz pod zbitą masą chmur. Poszedłem za jego przykładem.

– Kiedyś wszyscy staniemy po drugiej stronie – podjął ściszym głosem. – Gdy wydamy ostatnie tchnienie i wzlecimy na skrzydłach kirhów ponad szczyty Samalaków, wtenczas powrócimy do Krainy, skąd wygnał nas nieszczęsny występek Balbieta i Baltydery. Ale ważne jest, z czym się zjawimy. Czy przyniesiemy Panu krzyk i cierpienie wrogów, czy czerw słabszych stworzeń przelaną dla rozrywki? Pan osądzi nas z każdego postępuku i wyznaczy nam miejsce, na jakie zasłużyliśmy.

Przerwał, lecz ja nadal trwałem w milczeniu. Aszter uśmiechnął się na widok mojej zadumanej miny.

– Pora wracać, Mi. Takie chmury zwiastują ulewę. Musimy zdążyć, zanim deszcz rozpada się na dobre.

Tego wieczoru długo nie mogłem zasnąć. Przed oczami wciąż miałem wyniosłe wierzchołki Samalaków. W uszach dźwięczały mi słowa Asztera, których znaczenia nie do końca rozumiałem. Pocieszałem się wszakże myślą,

że będę miał jeszcze dość czasu i okazji, żeby go o wszystko dokładnie wypytać.

Nazajutrz jednak czekało mnie spotkanie z osobą, która wprowadziła do mego życia nieznany wcześniej zamęt i lęk.

Spałem jeszcze, znużony wczorajszą przygodą i nocnym rozmyślaniami, kiedy zjawił się ojciec. Miał na sobie cienki kaftan z czerwonego aksamitu przeplatany czarną nitką, która tworzyła na piersiach wizerunek kirha w locie, i czarne, długie do kostek nargoty, tak szerokie, że zdawały się raczej podobne do koronacyjnej szaty. Bujna czarna broda, gęsto przetykana siwizną, była misternie spleciona i ozdobiona białymi łuskami z brzucha ranga. Posiwiałe włosy opadały mu krótkim grubym warkoczem na plecy. Na głowie nosił królewski czapiec wysadzany zebranych z góry Ałtu kamieniami w kolorach czarnym, czerwonym i zielonym; miałem wrażenie, że mrugają teraz do mnie niby ślepiec potwora zendo z dręczących mnie po nocach snów.

– Już czas, Mikorze – odezwał się, kiedy otworzywszy oczy przyglądałem mu się na poły rozbudzony. Pojąłem opacznie jego słowa i zerwałem się z łoża tak spieszenie, że zaplątałem się w przykrycie i upadłem na skórę mlaskura rozciągniętą koło łoża.

Ojciec roześmiał się, lecz zaraz na powrót spoważniał. Dał znak Aszterowi, by pomógł mi się ubrać i przemówił głosem, w którym brzmiała troska i podniosła nuta:

– Wczoraj, Mikorze, skończyłeś sześć lat. Czas już, byś rozpoczął naukę, bez której każda wiedza jest jak naczynie napełnione tylko do połowy. Chodź ze mną.

Ruszyłem posłusznie za ojcem, Aszter zgodnie ze swym zwyczajem podążał moim śladem. Przeszliśmy długi pałacowy korytarz i jedną z tylnych ościeżni wyszliśmy na pałacowy podwórzec. Zaraz dołączyło do nas czterech batangów z królewskiego hufca, lecz ojciec odprawił ich stanowczym ruchem ręki. Poszliśmy dalej tylko we trójkę. Skręciliśmy przy wieży północnej w prawo, a kiedy minęliśmy ostatnie pałacowe zabudowania i wyszliśmy na otwartą przestrzeń, zobaczyłem pojedynczą budowlę oddaloną o dobre dwieście kroków. Z wyglądu przypominała górę Ałtu, choć bardziej niż tamta zwężała się ku szczytowi, który niby ostrze miecza mierzył prosto w niebo,

jakby chciał przeciąć je na połowę. Kiedy podeszliśmy bliżej, spostrzegłem, że budowla w przeciwieństwie do wszystkich znanych mi domów wykonana jest nie z drewna, lecz z kamienia. Duże kamienne bryły przylegały ściśle do siebie, jak gdyby ociosane mieczem. Nie potrafiłem powstrzymać okrzyku zdziwienia. Ojciec domyślił się przyczyny mego zaskoczenia, bo spojrzał na mnie z uśmiechem i rzekł:

– Nie pierwsza to i nie ostatnia rzecz, która wprawi cię w zdumienie. Świątynia Kri pełna jest tajemnic.

Staliśmy już pod murem świątyni. Ojciec wyjął z pochwy przy pasie krótki raziec i jego kościanym trzonkiem zapukał w którąś z kamiennych brył. Na ten sygnał w jednej z niewielkich ościeżnic pojawiła się na moment czyjaś głowa, a zaraz potem kamienna ściana poruszyła się. Odskokczyłem przestraszony. Ojciec położył mi uspokajającym gestem rękę na ramieniu. Patrzyłem w osłupieniu, jak kamienna góra rozstępuje się – dwa kamienne kloce wysunęły się i wykonawszy pół obrotu odsłoniły wąski otwór. Ojciec ruszył pierwszy, pociągając mnie za sobą. Obejrzałem się na Asztera i uspokoiłem się nieco widząc, że podąża za nami. Ledwie przestąpiłem próg świątyni, ujrzałem czekającą na nas postać; mówię „postać”, nie wiedziałem bowiem wówczas, czy mam do czynienia z mężczyzną, bielką czy jakąś zjawą. Postać ruszyła przodem, oświetlając nam przejście pochodnią.

Droga, którą przyszło mi przebyć, wydawała się nie mieć końca, choć – czego doświadczałem później na co dzień przez cztery kolejne lata – mierzyła niewiele ponad osiemdziesiąt kroków dorosłej osoby. Biegła wąskim korytarzem, który nawet mnie zdał się niski, skręcając dwukrotnie w prawo i tyleż razy w lewo. Za ostatnim zakrętem przeszliśmy jeszcze dziesięć kroków i na znak przewodnika stanęliśmy. Drżałem na całym ciele, na poły z chłodu, na poły ze zdenerwowania. Nagle pochodnia zaskwierczała i zgasła. Zrobiło się ciemno, choć oko wykol. Ojciec odszukał moją rękę i mocno ją ścisnął; poczułem się odrobinę pewniej. Zadarłem głowę i pobiegłem wzrokiem w lewo: tuż pod wysoką powalą, która górowała nad przestronnym kolistym pomieszczeniem, widniał krągły otwór, przez który wpadały teraz pierwsze

promienie wstającego słońca. Promienie biegły ukośnie, rozszerzając się ku ku dołowi i rozświetlając stojącego na kamiennej posadzce mężczyznę. Mrużąc oczy przyjrzałem mu się.

Skąpany w promieniach słońca, wyglądał jak jedno z owych drzew o fantastycznych kształtach, na jakie zabłąkany wędrowiec może natrafić nocą w gęstwinach Hitarry. Okryty był długim, opadającym aż do ziemi płaszczem, równie czarnym jak pióra kirhów. Nie nosił brody ni żadnego zarostu, głowę miał gładko wygoloną, cerę bladą. Domyśliłem się, że mam przed sobą pakriego, najwyższego kapłana w Świątyni Kri, o którym kilkakroć słyszałem od ojca.

– Zaszczyt to dla mnie powitać waronga Hisaba – przemówił pakri. Głos miał niski, lekko skrzeczący.

– Witaj, czcigodny. Mikor skończył sześć lat i nadszedł czas, byś zajął się jego edukacją. Ufam, że nowy uczeń wynagrodzi twój trud pilnością i posłuszeństwem, które starałem się mu wpoić.

Wymienili jeszcze wiele słów, z których coraz mniej pojmowałem. Słoneczne promienie wpadały teraz przez małe ościeżnice wykute w kamiennej powale kolistego pomieszczenia i naraz zrobiło się jasno. Podczas gdy ojciec i pakri wiedli uczoną rozmowę, ja rozglądałem się dyskretnie wokół siebie. Sala pozbawiona była jakichkolwiek sprzętów i ozdób. Łuczywa zamocowane w ściennych uchwytych stanowiły dowód, że po zachodzie słońca życie nie musiało tu zamierać. Ściany sali zbiegały się pośrodku ku sporemu wykuszowi, który przesłaniała długa aż do ziemi zasłona z czarnego materiału. Poczułem niepokój, którego przyczyny daremnie starałem się dociec.

Z zamyślenia wyrwał mnie głos ojca:

– Zapamiętaj zatem, Mikorze, że pakri Kwapra będzie ci od dziś nauczycielem i przewodnikiem po świecie rzeczy nowych i zjawisk niewidzialnych. Winienesz mu posłuszeństwo i szacunek należne mu z racji funkcji i wieku.

Położył mi ręce na ramionach i mocno mnie uściskał. Odwracał się już, żeby odejść, lecz dostrzegł pytające spojrzenie Kwapry skierowane na Asztera. Może mi się zdawało, lecz tym razem w głosie ojca wyczułem władczy ton:

– Powierzyłem Aszterowi opiekę nad Mikorem. Z mego rozkazu nie odstępować go na krok i chcę, żeby tak pozostało. Aszter jest tylko cieniem i swą obecnością nie będzie sprawiał ci kłopotu.

Po tych słowach odszedł, nie czekając na odpowiedź kapłana. Kwapra obrzucił Asztera chmurnym spojrzeniem i nakazał mu pozostać w sali, mnie zaś powiódł ku czarnej zasłonie. Poczułem na twarzy muśnięcie zimnego materiału i raptem ogarnęło mnie przerażenie. Zapragnąłem porwać się do ucieczki, ale ręka Kwapry trzymała mnie mocno. Bił od niej chłód, który przenikał mnie na wylot niczym ostrze dzirgytu. Odetchnąłem, kiedy ręka puściła mnie wolno. Chłopięca ciekawość wzięła górę nad lękiem: rozejrzałem się dookoła.

Znajdowałem się w pomieszczeniu o prostych bokach, długim na trzydzieści i szerokim na dobre dwadzieścia kroków. Przez niewielkie ościeżnice rozmieszczone w górze powały wpadało światło dnia. Rozmieszczone na ścianach w równych odstępach łuczywa dymiły jeszcze, jak gdyby ktoś zgasił je tuż przed naszym przybyciem. Pośrodku stał niewysoki kamienny siedlik z oparciem, przykryty skórą mlaskura, tak duży, że mogło się na nim zmieścić kilka dorosłych osób. Nie on jednak zwracał moją uwagę: nie mogłem oderwać oczu od przeciwległego końca sali, gdzie nad podłogą wznosiły się trzy wysokie stopnie, na które spływała czarna zasłona pokryta znakami przypominającymi ślepie, pazury i wygięte ogony zwierząt. Po obu jej stronach siedziały dwa potężne kirhy przykute do ścian nałożonymi na nogi łańcuchami. Na mój widok wyprężyły się, zatrzepotały skrzydłami, jakby chciały zerwać się do lotu. Owiał mnie strumień powietrza i poczułem mdły zapach dobiegający od kirhów. Cofnąłem się zdjęty strachem i odrazą.

– Nie lękaj się, Mikorze. To przecież kirhy, wysłannicy Stworzyciela i przewodnicy w naszej wędrówce do Krainy Mons.

Kwapra przymknął powieki, jak gdyby obraz Krainy miał tuż przed oczami. Trwał tak przez długi czas i zacząłem już myśleć, że zapadł w sen i zostawił mnie samego z kirhami szarpiącymi się na uwięzi. Raptem otworzył oczy i krzyknął coś gardłowym głosem. Nie rozumiałem słów, ale kirhy momentalnie uspokoiły się.

– Proszę, uwygodnij się, Mikorze. – Zachęcił mnie gestem, bym zajął miejsce na siedliku. Poszedłem za jego radą.

On sam stanął przed kamiennymi stopniami i położył dłonie na łbach kirhów. Zamarły jak zaczarowane. Kwapra stał w czarnym płaszczu na tle czarnej zasłony, otoczony dwoma czarnymi jak noc wysłannikami z Krainy Mons i sam zdawał mi się coraz bardziej podobny do wielkiego kirha. Miałem wrażenie, że lada moment pochwyci mnie i poniesie ze sobą. Chwyciłem się instynktownie oparcia siedlika i zacisnąłem powieki.

Otworzyłem oczy na dźwięk jego głosu.

– Niewiele jest tajemnic, które pozostaną przed tobą zamknięte, Mikorze, ale bacz na jedno: pod żadnym pozorem nie waz się podnieść tej zasłony i przekroczyć progu, który skrywa. To wyklucznia, miejsce najświętsze ze świętych, do którego ma dostęp jedynie najwyższy kapłan. Tam spoczywa Księga Kri, objawiona nam przed wiekami głosem Stworzyciela i zapisana świętym pismem przez mego wielkiego poprzednika pakriego Sigara. Przez cztery lata pilnego studiowania poznasz z mych ust całą jej treść i zapamiętasz tak dokładnie, jakbyś miał ją otwartą przed sobą i czytał stronicę po stronicy. Słuchaj zatem pilnie, ćwicz rozum i pamięć, a staniesz się godnym strażnikiem słów Pana i pomostem do Krainy Mons.

Jego głos przybrał nowy ton, tak jakby pakri Kwapra zaiste nie w swoim przemawiał imieniu i wypowiadał nie przez siebie ułożone słowa. Głos to wznosił się, to opadał, a ja falując wraz z nim doznałem wrażenia, że unoszę się nad kamiennym siedlikiem i przenikam przez czarną zasłonę do wykluczni, na której straży stały dwa czarnopióre kirhy.

– „I stworzył Pan w swej dobroci obfitość zwierzyny i mnogość roślin, o kształtach cieszących oko i barwach radujących serce każdego, kto na nie

spojrzał. Balbieta i Baltyderę uczynił gospodarzami tej ziemi i zezwolił im na wszystko, co w swej mądrości uważał za słuszne. Przechadzali się beztrudnie po leśnych ścieżkach pośród dzikiego zwierza, bez obaw kąpali się w czystych wodach wespół z tarogami, karmili się owocami Krainy i wygrzewali się w promieniach słońca, które nigdy nie zachodziło. Podobni do Stworzyciela i jego lotnych posłańców, mogli wznosić się na podarowanych im skrzydłach i szybować swobodnie ponad wszystkimi zakątkami Krainy”.

– „Pomni jednak na słowa Stworzyciela, nie zapuszczali się nad górskie rewiry, albowiem Pan Krainy zabronił im przekraczać szczyty gór. Lecz dnia pewnego Baltydera tak odezwała się do Balbieta: «Piękna jest Kraina, którą dał nam Pan, ale ziemia po drugiej stronie gór jest pewnie piękniejsza. Znużyło mnie oglądanie wciąż jednakich obrazów i nęci mnie obietnica tego, co nowe. Wzbijemy się bezszelestnie i polecimy niezauważenie na drugą stronę, a rzuciwszy tylko okiem, wrócimy do Krainy Mons. Skoro sami się nie zdradzimy, to jakże pozna Pan, że nie posłuchaliśmy jego zakazu?» I Balbiet dał się przekonać, bo sam trawiony był ciekawością. Wzleciawszy w górę, przekroczyli zakazaną granicę i znaleźli się nad nową ziemią. Lecz to, co ujrzeli, nappełniło ich lękiem. Zobaczyli wyschnięte drzewa, wody zatrute wyziewami potworów, zwierzęta pożerające siebie nawzajem i słońce spadające z nieba jak kamień. Wrócili spieszenie do Krainy Mons i nic nie mówiąc stanęli przed obliczem Pana. Lecz Pan ujrzawszy ich strwożone lica i po tym poznał, gdzie byli i co widzieli. Zawrzał gniewem i zapłakał, albowiem bardzo ich umiłował. Rzekł: «Złamaliście mój zakaz i ręka mi nie zdręży, gdy będę wymierzał wam karę.»”

– „Odebrał im tedy skrzydła i wygnał do zakazanej ziemi, by doznając głodu, strachu i zimna spoglądali tęsknie ku szczytom, za którymi otwiera się Kraina Mons. Występek Balbieta i Baltydery dotknął wszystkie ich dzieci, aż po ostatnie pokolenie Kambriddów, które narodzi się, gdy czas będzie zmierzał ku końcowi. Znosić będą swój los w pokorze, czekając śmierci, która wyzwoli ich od odwiecznego występku i otworzy bramę do Krainy Mons.”

Kwapra skończył i popatrzył na mnie surowo. Musiał dostrzec w mych oczach lęk, bo wzrok mu złagodniał. Zbliżył się i ujął mnie pod brodę. Miałem teraz przed sobą jego bladą twarz i starannie wygoloną głowę. Zadrżałem: w górze czoła, w miejscu, gdzie powinny zaczynać się włosy, widniało czarne znamię w kształcie kirha ze skrzydłami rozpostartymi do lotu.

– Nie lękaj się, Mikorze. – Starał się mówić miękko, lecz mnie się zdawało, że słyszę jazgot skrzydlaczy. – Pan w słowach Księgi zawarł też nadzieję. Odebrał nam skrzydła, lecz obiecał zarazem, że krocząc drogą posłuszeństwa możemy powrócić do Krainy. Posłuszeństwo, Mikorze. Ta cnota otworzy ci bramę Krainy. Bądź posłuszny nakazom Księgi i nakazom kapłana.

Pochylił się nade mną.

– Stworzyciel przemawia przeze mnie. Cokolwiek rzeknę, wykonasz z ochotnym sercem, bo taka będzie wola Pana. Pamiętaj, tylko ja przygotuję ci miejsce w Krainie Mons i moimi ustami oznajmę twoje przybycie.

Oczy Kwapry gorzały jak dwie pochodnie. Kuliłem się pod ich palącym spojrzeniem. Wtem przypomniałem sobie, co o Krainie mówił mi Aszter i wróciła mi otucha. Stworzyciel nie może być tak okrutny, jak przedstawia go pakri Kwapra. Zanim pojawiłem, co czynię, powtórzyłem za Aszterem:

– To Pan osądzi nas z każdego postępku i wyznaczy nam w Krainie miejsce, na jakie sobie zasłużyliśmy. Ważne jest, z czym się zjawimy. Czy przyniesiemy Panu krzyk i cierpienie wrogów, czy czerw słabszych przelaną dla rozrywki. Nie godzi się bowiem odbierać życia, które nie do nas należy.

– Zamilcz! – krzyknął groźnie. Skrzydlacze nasrożyły się. – Ufasz, że sam wytyczysz sobie drogę do Krainy? Któż nakładł ci do głowy takich bredni? Zarzuć podobne myśli, bo będziesz zgubiony! Litość wynosić nad prawdziwe cnoty! Litość to słabość, słabość zaś jest oznaką głupców i nie przystoi przyszłemu warongowi. Widzę, że niewiele dziś się nauczyłeś. Słuchaj zatem od początku...

Kiedy powróciłem tego dnia do komnaty, padłem na łożo i długo leżałem próbując pozbiierać rozbiegane myśli. Nie zwierzyłem się z niczego

Aszterowi. Nie chciałem, by cień Kwapry, którego chłodną obecność tego dnia poczułem pierwszy raz, padł także na Asztera.

* * *

Tegoż roku miało miejsce znamienne wydarzenie, które umocniło więź łączącą mnie z Aszterem i przekształciło ją w przyjaźń. Pewnego dnia pakri Kwapra oznajmił z tajemniczą miną:

– Na kilka dni zaniechasz nauki, bo czekają cię inne obowiązki. Ojciec wszystko ci dziś wyjaśni.

Korciło mnie, żeby zapytać, o co chodzi, poniechałem jednak tej myśli: pakri nie wydawał się zadowolony z czekającej mnie przerwy w nauce, nie chciałem go zatem jeszcze bardziej rozdrażniać swą dociekliwością.

Ojciec zjawił się w mej komnacie późnym popołudniem.

– Jutro z samego rana wyruszamy do Hitarry – zapowiedział. – Aszter przygotuje cię do drogi. Pamiętaj, Mikorze, taka wyprawa to wielki zaszczyt. Nie nosisz jeszcze miecza ni nawet rażca, a będziesz mógł przebywać pośród sławnych mężów jak równy między równymi. Ufam, że nie sprawisz mi zawodu.

Wypadł z komnaty spiesznym krokiem, zostawiając mnie w jeszcze większej niepewności. Spojrzałem pytająco na Asztera.

– Czcigodny Hisab mówił o *wa-ra batang-ati*, co znaczy „ceremonia potwierdzająca narodziny wojownika”. – Aszter przystąpił do wyjaśnień: – Każdy wojownik musi choć raz w życiu zmierzyć się z bestią, pod której znakiem się narodził. W roku narodzin twego ojca na niebie panował beros i z nim to właśnie Hisab zamierza stoczyć walkę.

– Nigdy jeszcze żadnego nie spotkał? – zapytałem nie kryjąc zdziwienia.

– Beros to zwierz ogromnej siły i równie wielkiej przebiegłości. Kiedy wpadnie w szal, potrafi w pojedynkę rozpedzić pół tuzina batangów. Trudno go jednak podejść, trzyma się bowiem leśnych ostępów, gdzie mało kto odważa się zapuszczać. Tylko raz w roku, gdy kwitnie marati, którego nektar jest jego wielkim przysmakiem, beros wychodzi na leśne łąki i wtedy można

go napotkać. Rzadka to okazja, trwa nie dłużej niż trzy dni. Ja sam widziałem go zaledwie raz. Był tak podniecony po wypiciu nektaru, że wyrwał całe drzewa z korzeniami. Ledwo uszedłem z życiem.

Popatrzyłem na mocarne ramiona Asztera i jego silne dłonie, którymi potrafił rozłupywać kamienie.

– A ty, Aszterze, pod jakim urodziłeś się znakiem?

Spojrzał na mnie z namysłem.

– Moim domem był wiejski watrok, nie bieta batanga. Nie znam czasu mych narodzin, bo któż przykłada do tego wagę w ubogim siole. – Zamyślił się. – Nie wiem, z jakim zwierzem powinienem się zmierzyć i niepewność ta dręczy mnie czasami. Największą obawę zawsze budzi w nas to, co nieznanne.

Pomyślałem o szmerach dobiegających nocami spod łoża i o jęśliwych głosach, które przywiewał czasem wiatr – i musiałem przyznać mu rację. Spytałem spiesznie, chcąc pozbyć się uczucia niepokoju:

– A ja pod jakim urodziłem się znakiem?

Aszter nie odpowiedział. Podszedł powoli do ościeżnicy i wybiegł wzrokiem ku dalekim szczytom. Miałem już ponowić pytanie, kiedy przymknął drewniane skrzydła ościeżnicy i powrócił do mnie z wyraźnym ociąganiem.

– Nigdzie nie jest napisane, że każdy musi spotkać swoją bestię – zaczął, ostrożnie ważąc słowa.

– Nie rozumiem, Aszterze...

– Ja sam jestem tego najlepszym przykładem.

– Syn waronga nie urodził się w wiejskim watroku i czas jego narodzin jest dobrze znany. Czemu unikasz odpowiedzi, Aszterze?

Westchnął ciężko.

– Zatem dobrze... Kiedy przyszedłeś na świat, na niebie zapanował na krótko znak o trzech głowach, plujący ogniem i jadem z trzech języków. Twoja matka na wieść o tym zapadła na zdrowiu i nie wstała już z łoża po porodzie. Urodziłeś się pod znakiem zendo, Mikorze.

Tej nocy ilekroć zamknąłem powieki, widziałem ogromną paszczę opatrzoną dwoma rzędami kłów, z której dobywały się kłęby dymu i płomienie. Ze ślepiów zendo strzelały iskry, pokręcone rogi błyskały czerwono, z chrap wylewała się cuchnąca żółć. Zasnąłem dopiero przed świtem, lecz obraz potwora powracał raz po raz i wyrwał mnie z płytkiego snu.

Aszter zbudził mnie, ledwo zaczynało dzień. Wstałem niewyspany i wcale nie przejawiałem ochoty do czekającej mnie wyprawy. Aszter posadził mnie przed sobą na grzywaczu i otulił grubymi skórąmi, ale wciąż wstrząsały mną dreszcze. Uspokoilem się dopiero w ciepłych promieniach południowego słońca. Przesiadłem się na swego grzywacza i resztę dnia, wyjąwszy kilka krótkich postojów, spędziłem na jego grzbiecie. Zawstydzony okazaną wcześniej słabością, bez szemrania znosiłem trudy trzydniowej podróży. Pod koniec trzeciego dnia zobaczyliśmy w oddali ciemny pas Hitarry.

Rozbiliśmy obóz w małej kotlince porośniętej krzakami i wysoką trawą. Nasycony pieczonym mięsiwem z zająca, opatulony w ciepły płaszcz Asztera, siedziałem przy ognisku i przyglądałem się batangom, którzy gotowali się do czekającego ich jutro zadania. Napinali cięciwy łuków, sprawdzali wiązanie ostrzy u dirgytów, próbowali ostrość mieczy i raźców. Wiatr przywiewał nieprzyjemny zapach od ciągnących się nieopodal rozlewisk, bór szumiał głośno i niespokojnie, lecz ja otoczony dwoma tuzinami batangów czułem się pewnie i bezpiecznie. Wreszcie, wyczerpany trudami podróży i uśpiony ciepłem płomieni, zapadłem w twardy sen.

Nazajutrz wyruszyliśmy skoro świt, żeby dotrzeć do Hitarry, nim słońce stanie wysoko na niebie. Posuwaliśmy się szybko, milczący i skupieni. Spojrzałem na ojca. Trzymał się prosto na grzywaczu, wcale nie utrudzony znojami wyprawy.

Hitarra powitała nas mdłym zapachem mokradeł i rzecznych rozlewisk, które ciągnęły się po naszej lewej ręce. Zsiedliśmy z grzywaczy i zostawiwszy zwierzęta pod opieką czterech wojowników, dalej powędrowaliśmy pieszo. Słońce przebijało się z trudem przez powalę z gałęzi i liści. Otwierający

pochód batangowie mieczami i toporami przecierali ścieżkę. Kiedy z daleka ukazał się prześwit polany, ruszyliśmy szybciej.

Wyszedszy na otwartą przestrzeń, natknęliśmy się na niespodziewaną przeszkodę: miast polany ujrzelśmy rozlewisko, szerokie na odległość rzutu dzirgytem, o wodzie mętnej i ciemnobrunatnej. Po krótkiej naradzie z batangami ojciec postanowił, że obejdziemy rozlewisko bokiem i poszukamy miejsca dogodnego do przeprawy na drugą stronę. Posuwaliśmy się teraz gęsiego po ścieżce szerokiej na nie więcej niż dwa kroki; po prawej ręce mieliśmy leśne zarośla, po lewej ciemną taflę wody, skąd dolatywał smród gnijących roślin. Kroczyłem pośrodku pochodu, mając tuż za sobą Asztera, ojciec maszerował w przodzie. Idąc zatykałem sobie nos, bo odór zgnilizny stał się trudny do wytrzymania. Wkrótce ścieżka zaczęła piąć się w górę. Zakręciło mi się w głowie. Niemal w tej samej chwili usłyszałem rozdzierający krzyk. Zdążyłem jeszcze zobaczyć, jak idący przede mną wojownik zapada się pod ziemię i zaraz potem sam straciłem grunt pod nogami.

Woda zamknęła się nade mną, ogarnęła mnie ciemność. Poczułem pod nogami grząskie dno i odbiłem się instynktownie w górę. Stworzyciel odebrał nam skrzydła, lecz nie pozbawił nas zdolności do poruszania się w wodnych odmętach. Wypłynąwszy na powierzchnię, wziąłem głęboki oddech i rozejrzałem się wokół. Spokojne do niedawna rozlewisko kipiało teraz niczym potoki Marry w porze największych burzy. Pośród wodnej kipieli śmigwały złowieszcze tarogi. Widziałem ich długie paszcze, szerokie łby ze ślepiami wielkimi jak głownie pochodni, brunatne grzbiety pokryte szkaradnymi wyrostkami. Woda zabarwiła się na czerwono. Nagle z góry dobiegł mnie przeraźliwy krzyk ojca i w tej samej chwili ujrzałem sunący w moją stronę łeb taroga. Przerazenie odebrało mi siły. Tkwiłem w wodzie jak drewniana kłoda, niezdolny do ucieczki. Raptem usłyszałem świst i zobaczyłem, jak ciśnięty ręką ojca dzirgyt wbija się tarogowi w kark. Potrząsnął ogromnym łbem próbując uwolnić się od ostrza i zniknął w wodnej otchłani. Z lewej strony mignęły mi trzy złowróżbne cienie. Zbliżały się ku mnie szybko i cicho,

błyskając zabarwionymi czerwiałymi kłami. Porwałem się do ucieczki. Walilem rękami jak oszalały, ale do brzegu wciąż było daleko.

Wtedy to po raz pierwszy przekląłem Balbieta i Baltyderę, których występki pozbawił nas skrzydeł. Zachłysnąłem się wodą. Osłabłe członki odmawiały mi posłuszeństwa, odziewek ciążył niczym kamień. Parłem do przodu ostatkiem sił. Nagle tuż przede mną woda wzburzyła się. Byłem zgubiony. Przypomniałem sobie słowa Księgi, którymi Stworzyciel wita wędrowców przybywających do Krainy po trudach ziemskiego bytowania. Żegnając się z życiem, zacząłem je w myślach powtarzać i patrzyłem, jak z brunatnych odmętów wynurza się złowrogi kształt. Lecz oto zamiast taroga ujrzałem znajome oblicze Asztera. Chwycił mnie jedną ręką, przyciągnął do siebie i ukrył za plecami.

Wówczas zdarzyło się coś, co do dzisiaj nie przestaje mnie zadziwiać. Aszter wybił się do połowy ciała ponad powierzchnię wody i ryknął głosem tak strasliwym, że z drzew posypały się liście. Niewiele zapamiętałem z tego, co działo się później. Wiem tylko, że znalazłem się na brzegu, ktoś porwał mnie w ramiona, czyjeś ręce otuliły mnie w gruby pled.

Gdy się ocknąłem, zobaczyłem nad sobą gwiaździste niebo. Czułem ciepło ogniska, skóra mlaskura grzała mnie przyjemnie, gdzieś z boku dobiegały przyciszone głosy. Poruszyłem się. Głosy umilkły i ujrzałem pochylone nade mną twarze ojca i Asztera.

– Chwała niech będzie Stworzycielowi. – Ojciec westchnął, pogładził mnie po głowie. Spróbowałem się podnieść, ale powstrzymał mnie stanowczym ruchem dłoni. – Noc jeszcze głęboka, Mikorze, śpij. Potrzebny ci spokój. Musisz nabrać sił.

Obudziło mnie pragnienie. Aszter przystawił mi do ust nosielnik z wodą i pozwolił wypić kilka łyków. Wsparty o jego ramię, siedziałem i patrzyłem na skaczące iskry. Odezwałem się dopiero po długiej chwili:

– Bardzo się bałem, Aszterze.

– Wiem.

– Co stało się z innymi?

– Tarogi uśmierciły pięciu batangów.

Przywarłem mocniej do Asztera.

– Gdyby nie ty, spotkałby mnie ten sam los... Aszterze! Od dzisiaj niczego się nie boję. Skoro mam ciebie, cóż złego może mi się przytrafić?

Nie odpowiedział. Wpatrywał się przed siebie, nieruchomy i milczący, jak gdyby przebywał myślami gdzie indziej.

– Muszę ci coś wyznać, Mikorze. Nie oczekuję, że to zrozumiesz, bo ja sam nie potrafię przeniknąć tego myśla.

– Chcesz powiedzieć, że też czułeś strach. To przecież naturalne.

– Nie, Mikorze, prawda jest zgoła inna. Patrząc bestiom w ślepia nie znałem lęku! Wiedziałem ponad wszelką wątpliwość, że nic złego nie może mi się przydarzyć. Miałem przeświadczenie, że wszystko to już kiedyś przeżyłem, że z tamtej próby wyszedłem zwycięsko i tarogi na zawsze uznały we mnie swego pana.

Urwał i zwiesił głowę. Noc odchodziła, wstawał nowy dzień. Aszter podniósł się i patrząc w dal dopowiedział cicho:

– Jestem niczym strzała wypuszczona z łuku. Lecę przed siebie, lecz nie znam początku drogi, którą podążam. Czy dane mi będzie kiedyś go poznać?

Dni w pałacu biegły nadal ustalonym rytmem, lecz dla mnie nic już nie było takie samo jak dawniej. Otarłem się o śmierć i nie potrafiłem wyzwolić się od jej wspomnienia. Budziłem się nocą zlany potem, z bijącym sercem wyciągałem ręce i w ciemności macałem wokół siebie, przeświadczony, że unoszę się na wodzie i lada moment podstępna bestia wciągnie mnie w cuchnącą głębinę. Ręce i nogi ciążyły mi jak kamienie i wiedziałem, że nikt ani nic nie zdoła mnie uratować.

Znienawidziłem wodę. Ja, Kambridd, który od dnia narodzin czuje się w wodnym żywiole równie pewnie, jakby stąpał po ziemi, ledwo ważyłem się zanurzyć stopę w strumieniu. Może dlatego coraz częściej spoglądałem w stronę Samalaków... Niebotyczne szczyty, górujące nad światem jak sylwetki olbrzymów zastygłych w sennym bezruchu, budziły we mnie nie nazwaną tęsknotę. Marzyłem, by oderwać się od ziemi i szybować na skrzydłach w przestworzach, wolny od strachu, że jeden nieopatrzny krok może zawieźć mnie w zdradziecką kipieli.

W świecie, który powoli odkrywał przede mną wciąż nowe oblicza, jeszcze jedna rzecz napełniała mnie niepokojem. Nie potrafiłem określić przyczyny lęku, wiedziałem jednak, że jego źródłem jest pakri Kwapra. Wystarczyło, bym przekroczył próg świątyni, a serce zaczynało skakać mi w piersiach jak skrzydlacz w klatce. Kiedy Kwapra pochylał się nade mną rozpościerając ramiona czarnego płaszcza, zdawało mi się nieustannie, że to olbrzymi kirh wyciąga po mnie swe szpony. Przykładałem się pilnie do nauki, lecz odnosiłem wrażenie, że każda moja udana odpowiedź drażniła go bardziej niż wychwycone niedociągnięcia. Nie potrafiąc dociec przyczyny, a siebie nie poczytując za winnego, całe to zachowanie składałem na karb jego nadmiernej surowości.

Tuż przed dniem mych dziewiątych urodzin miało miejsce wydarzenie, które zaważyło na dalszych etapach mej edukacji. Było już blisko południa i trudy podjętych wczesnym rankiem lekcji dawały mi się we znaki. Nie wolny

od lęku, lecz jak zawsze dostatecznie skupiony, zdołałem dotychczas pokonać bez jednego potknięcia wszystkie pułapki zastawiane przez Kwaprę. Wymieniłem bezbłędnie imiona stu dziesięciu batangów opiewanych w „Księdze znaczeń”, wyrecytowałem bez zająknięcia trzysta wersetów „Pieśni o czynach Melkama” i przebrnąłem szczęśliwie przez zawilości opisu stworzenia Krainy Mons. Pakri Kwapra, skwitowawszy udane odpowiedzi jednym chrapliwym mruknięciem, uwygodnił się na wyściełanym czarnym suknie siedlika i przemówił:

– Każda rzecz ma przypisaną jej przez Pana nazwę, a każda nazwa skrywa jeden tylko kształt i jedno znaczenie. To właściwość rzeczy i zjawisk poślednich, zwykłych stanów życia i bytów świata. Lecz Pan wznosi się ponad to, co zwykłe i poślednie, łączy w sobie mnogość rzeczy i niezmierzone bogactwo znaczeń. – Popatrzyl na mnie przenikliwie. – Wymień wszystkie imiona Pana, którymi nieudolnie usiłujemy oddać Jego nieopisane jestestwo.

Jęknąłem ze zgrozy na myśl o czekającym mnie trudzie. Żyjący przed pięcioma wiekami pakri Maratu zebrał w „Mentabie chwalebnych przymiotów” siedemset siedemdziesiąt siedem imion i zawołań, którymi Księga Kri nazywa Stworzyciela. Wyrecytowanie ich wszystkich zdało mi się zadaniem przekraczającym me siły, tym bardziej, że nigdy jeszcze nie dane mi było się z nim zmierzyć. Napięty niczym cięciwa łuku, z drzeniem w głosie rozpocząłem długą litanie. Lecz dobry Pan musiał mieć mnie w swej opiece, bo nagle umysł otworzył mi się niczym księga i słowa same poczęły cisnąć mi się na usta. Płynęły jak spokojny strumień, śpiewne i kojące. Ich senny rytm musiał podziałać na kapłana, kiedy bowiem doszedłem do połowy litanii, Kwapra przymknął powieki i zamarł z głową przechyloną na piersi. Oddychał równo i spokojnie, pochrapując z lekka; czarny płaszcz unosił się i opadał przy każdym oddechu, ręce zaciśnięte na ramionach siedlika zwolniły uścisk i drgały lekko, jakby żyły własnym życiem. Ściszyłem instynktownie głos, bojąc się wytrącić Kwaprę z drzemki, wreszcie ucichłem. Rozejrzałem się niespokojnie, nie wiedząc, co robić dalej. Raptem usłyszałem tuż nad uchem świst i poczułem piekące uderzenie w policzek. Łzy napłynęły mi do oczu,

skóra na twarzy paliła mnie jak przypiekana rozżarzoną żelazem. Dotknąłem dłonią bolącego miejsca: wyczułem nabrzmiałą grubą szramę, długą na palec.

– Czemu przerywasz, niegodziwcze! Nie odzieraj Pana z należnej mu chwały, bo spotka cię kara stokroć surowsza! Pan przemawia przeze mnie i nakazuje nie wstrzymywać karzącego ramienia!

Kwapra stał o krok ode mnie. Wąskie blade wargi zaciskał w gniewnym grymasie, z oczu sypały mu się iskry. Znow zamierzył się na mnie kijem. Cofnąłem się zdjęty ogromnym lękiem, bo naraz ujrzałem kłębowisko rangów wyłaniających się z szerokich rękawów jego płaszcza. Krzyknąłem przeraźliwie na ten widok. Mój krzyk wypełnił pomieszczenie, przetoczył się echem po świątynnych korytarzach, zlał się z tupotem szybko biegnących nóg. Aszter wpadł do komnaty, z ręką na mieczu wysuniętym do połowy z pochwy. Ujrzał Kwaprę gotowego do ciosu, zobaczył mój rozcięty policzek i z gniewnym pomrukiem ruszył w stronę kapłana. Kwapra ujął kij w obie dłonie, jakby gotując się do odparcia ataku. Niespodziewanie rozciągnął usta w uśmiechu, rzucił kij na kamienną podłogę i wyciągnął do mnie rękę.

– Dobry nauczyciel, Mikorze, musi być też srogi. Zwłaszcza gdy winien zadbać o edukację ucznia tak znamienitego rodu. Ufaj mi, że wszystko, co robię, czynię w trosce o ciebie.

Pogładził mnie opuszkami palców po skaleczonym policzku. Poczułem w tym miejscu lodowaty chłód. Kiedy odprawił mnie wreszcie, odszedłem wspierając się na ramieniu Asztera. Wyszliśmy na zalaną słońcem przestrzeń. Dzień był pogodny, szczyty Samalaków błyszczały w słonecznych promieniach jak wysadzone diamentami i astyksem. Zaczął mi wracać spokój. Nie zastanawiając się nad tym, co robię, dotknąłem dłonią policzka. Poczułem pod palcami gładką skórę – po szramie nie pozostał nawet ślad. Przeszedł mnie zimny dreszcz. Przyspieszyłem kroku.

Od tamtego dnia Kwapra zmienił się nie po poznania. Jako nauczyciel był dla mnie równie wymagający, lecz ani razu nie podniósł już na mnie głosu i nie próbował skarcić w inny sposób. Nie dawałem mu zresztą ku temu

powodów. Powoli zbliżał się dzień mych dziesiątych urodzin a wraz z nim koniec świątynnych nauk, pragnąłem więc zakończyć ten etap mej edukacji jak najbardziej chlubnie. Polubiłem nawet chwile, gdy pakri uwygadniał się w swym siedliku i zaczynał słuchać mych recytatorskich popisów. Kiwał z ukontentowania głową, od czasu do czasu cmokał i przymykał oczy.

Mówią, że rany ciała i duszy w młodym wieku goją się szybko. Przekonałem się o tym na własnym przykładzie: obraz rozsierzonego Kwapry odchodził powoli w cień. Lecz widać w każdej ranie tkwić musi zadra, która nie pozwala jej zarosnąć blizną.

Było to na trzy tygodnie przed próbą wykluczni na górze Ałtu. Zaczęła się właśnie ostatnia tego dnia godzina nauki. Przytaczałem z pamięci fragment „Księgi Kri”, który mówi o powitaniu Melkama w Krainie Mons. Upojony opisem rycerskich cnót Melkama przymknąłem bezwiednie powieki i recytowałem dalej, przywołując bez trudu werset za wersetem. Raptem poczułem w całym ciele przejmujący ziąb. Otworzyłem oczy i przychwyciłem Kwaprę, jak przygląda mi się nienawistnie. Trwało to nie dłużej niż mrugnięcie powieką. Uśmiechnął się, jakby chciał mnie przekonać, że to, co widziałem, było jeno złudzeniem i owocem zmęczenia. Przełknąłem ślinę i podjąłem na nowo monolog, starając się nie dać nic po sobie poznać. Przez tę krótką chwilę zobaczyłem jednak zbyt wiele, by dać się zwieść uśmiechowi Kwapry. Nie pojmowałem, czym tłumaczyć jego skrywaną wrogość, czułem wszakże, że winienem mieć się przed nim na baczności.

Tym tęskniej wypatrywałem dnia, gdy ostatni raz przekroczę próg świątyni. Nadszedł wreszcie ten długo wyczekiwany poranek. Kwapra oczekiwał mnie już za świątynną bramą. Powitał mnie w milczeniu krótkim ruchem głowy, odwrócił się i zaczął się szybko oddalać, każąc mi podążać za sobą. Kroczyliśmy bez słowa, podobni do nocnych skrzydlaczy. Wreszcie stanęliśmy na wprost trzech stopni prowadzących do wykluczni, od której oddzielała nas czarna zasłona. Przykute do ściany kirhy wyciągnęły ku mnie długie szyje i zatrzepotały skrzydłami tak gwałtownie, że zasłona poruszyła się

i na krótką chwilę ożyły pazury, ślepia i ogony wymalowanych na niej bestii. Cofnąłem się mimowolnie.

– Słusznie się trwożysz, Mikorze, bliskość wykluczni każdego winna napawać lękiem. Za jej zasłoną żyje Pan na kartach Księgi. Jako ci rzekłem pierwszego dnia, wierni i posłuszni nie muszą się lękać Jego gniewu.

Wszedł po trzech stopniach prowadzących do wykluczni, odwrócił się twarzą ku mnie. Stojąc na tle czarnej zasłony przemówił groźnie:

– Niech jednak nie oczekuje miłosierdzia ten, kto sprzeniewierzy się słowom Pana. Lepiej by mu było spłonąć od ognia Mammonitów, niż zaznać płomieni, do których wrzuci go Pan.

Uniósł obie ręce i wypowiedział pospiesznie kilka niezrozumiałych dla mnie słów. Rozległ się potężny huk i naraz zasłona stała się jedną czerwoną pochodnią. Kwapra stał nieporuszony, a płomienie skakały po nim nie czyniąc mu najmniejszej szkody. Raptem zatrzepotał rękawami czarnego płaszcza i płomienie zgasły w mgnieniu oka.

Stałem oniemiały. Kwapra nie kazał mi długo czekać.

– To, co widziałeś, jest ledwo igraszką wobec mocy Tego, który przemawia przeze mnie. Dziś, Mikorze, kończy się czas twej nauki. Wkrótce czeka cię nowa próba. Słuchaj zatem pilnie, bo słowa Pana kryją wiele znaczeń. Staniesz na górze Ałtu i będziesz poddany próbie wykluczni, przez trzy dni i trzy noce poszcząc i czekając na znak od Pana. Jeśli uzna cię godnym, ześle ci symbol wybrania, byś tu, na ziemi, był Jego ramieniem.

Przemogłem strach i spytałem:

– Co będzie, jeśli Pan odwróci się ode mnie?

– Trzeba przyjmować z pokorą wyroki Pana. Stanie się to, co dawno już zapisane. Nie pytaj o nic więcej, tylko gotuj się do drogi. Wyruszysz skoro świt.

To samo usłyszałem od ojca, kiedy posłuszny jego wezwaniu stawiałem się przed nim po powrocie ze świątyni.

– Czekają nas długa droga, Mikorze. Wyjedziemy wczesnym świtem, by przed wieczorem dotrzeć do góry Ałtu. U jej stóp rozbijemy obóz, dalej udasz się sam. Ufam, Mikorze, że sprostasz próbie, której podda cię Pan.

Wyciągnął do mnie ramiona. Podbiegłem i przytuliłem się do niego jak dawniej, kiedy sadzał mnie na kolana i opowiadał mi o matce, której nigdy nie poznałem. Odsunął mnie od siebie energicznym ruchem, przyjrzał mi się uważnie. Pogładził mnie opuszkami palców po policzku, na którym pojawił się pierwszy zarost.

– Już włosiejesz, Mikorze – przemówił miękko. – Wkraczasz w wiek dojrzały. Błogosławię Pana, że dał mi ciebie i obdarzył cię wszelakimi przymiotami umysłu i ciała. Kiedy odejdę, zajmiesz moje miejsce.

Patrzył na mnie przenikliwym wzrokiem, jakby chciał przekazać mi część swojej mocy. Rosły i szeroki w ramionach, zdał mi się podobny do skały górującej nad światem.

Tej nocy spałem snem tak twardym, że Aszter musiał się mocno natrudzić, zanim mnie dobudził.

– Pora wstawać, Mikorze – usłyszałem jego ponagląjący głos. – Wszyscy są już gotowi do drogi.

Kiedy wybiegłem spóźniony na pałacowy podwórzec, ojciec skarcił mnie spojrzeniem. Dosiadał białego grzywacza, który przebierał niecierpliwie nogami zdradzając ochotę do biegu. Dwa tuziny jeźdźców z królewskiego hufca czekało w karnym dwuszeregu. Dowodził nimi wabatang Nersefit, wojownik średniego ledwie wzrostu, lecz tak ogromnej siły i zręczności, że z wyjątkiem Asztera nikt nie mógł z nim się mierzyć. Długi warkocz nosił związany w tyle głowy, jak przystało na wojownika zawsze gotowego do walki; lewy policzek przecinała mu gruba na palec blizna, która kończyła się szkaradnym kikutem ucha. Powitał mnie krótkim ruchem głowy i szybkim klusem objechał dwuszereg wojowników. Powrócił na czoło pochodu, osadził grzywacza w miejscu i spojrzał na mnie wyczekująco.

– Nie każmy im dłużej czekać, Mikorze! – usłyszałem szept Asztera i poczułem na ramieniu jego rękę.

Dotarłem na czoło oddziału i zatrzymałem się przed popielatym grzywaczem, którego przygotowano mi do drogi. Czułem na sobie spojrzenia wszystkich. Energicznym kopnięciem odrzuciłem podstawiony siedlik, chwyciłem się obiema rękami długiej grzywy i jednym zręcznym skokiem znalazłem się na grzbiecie grzywacza. Kątem oka spojrzałem na Nersefita: choć zazwyczaj nieskory do okazywania uczuć, uśmiechnął się lekko i pokiwał z uznaniem głową. Ruszyliśmy kłusem. Za pałacowym murem dołączył do nas orszak zmierzający od świątyni: przodem jechali dwaj jeźdźcy szczerbie spowici w czarne szaty i prowadzili parę połączonych jarzmem mlaskurów, które dźwigały na grzbietach dużą skrzynię okrytą czarnym suknem. Za mlaskurami jechał pakri Kwapra w podróżnym płaszczu z kapturem, pochód zaś zamykało czterech mężów bliźniaczo podobnych do dwóch pierwszych. Podniosłem się w siodle, by przyjrzeć się czarnym jeźdźcom. Aszter domyślił się widać przyczyny mej ciekawości, bo odezwał się nie pytany:

– To empi, strażnicy świątyni.

– Strażnicy świątyni? Przez cztery lata uczęszczałem na świątynne nauki, a pierwszy raz ich widzę!

Aszter zaśmiał się cicho.

– Zapamiętaj sobie, że broń niewidzialna jest stokroć groźniejsza. – Zniżając głos do szeptu dopowiedział: – To wyborni wojownicy, oddani świątyni i pakriemu. Strzeż się ich, Mikorze.

Nie rzekł nic więcej, lecz i ja nie próbowałem dociekać, jaki sens kryją ostatnie słowa. Nagle straciłem ochotę do rozmowy. Aszter uznał, że trapię się myślą o bliskiej już próbie wykluczeni i dla odwrócenia uwagi począł mnie raczyć opowieściami o Melkamie. Słuchałem jednym uchem, szczęśliwy, że nie muszę silić się na rozmowę. Tak dojechaliliśmy do Erugi, jednej z odnóg rzeki Marry. Przeprawiliśmy się bez trudu przez płytkie o tej porze roku wody i zatrzymaliśmy się na krótki popas na trawiastym brzegu. Słońce stało już wysoko na niebie, kiedy wyruszyliśmy dalej. Krajobraz stał się kamienisty. Coraz częściej przychodziło nam omijać olbrzymie głazy, których obecność świadczyła o bliskości Samalaków.

Po dwóch godzinach jazdy drogę zagroził nam Wąwóz Zawrócenia, głęboka rozpadlina, która biegła od łańcucha Samalaków i na północy łączyła się z Doliną Ukambrii. Skręciliśmy w prawo i kierując się ku widocznej już w oddali górze Ałtu, przez pewien czas jechaliśmy wzdłuż brzegu wąwozu. Oddalaliśmy się od Samalaków, z każdym krokiem bliżsi celu wyprawy. Ziemia zazieleniła się, kwitnące krzaki marlinu ożywiły szary do niedawna krajobraz, rozłożyste korony drzew banu dawały pożądany cień.

Równy o zachodzie słońca stanęliśmy u stóp świętej góry Ałtu.

Prawdziwie musiał ją tu postawić sam Stworzyciel, by uczynić górę świadectwem wiary Kambriidów a zarazem symbolem nadziei na odkupienie. Zachodnie zbocze góry, a więc ta jej część, która skłaniała się ku Samalakom, porastała bujna zieleń, z lasem wiecznie kwitnących drzew. Strona wschodnia stanowiła przeciwieństwo zachodniej: od samego szczytu po najeżone skałami podnóże ciągnął się szeroki pas kamienistej ziemi, pozbawionej roślinności. Na tle ciemniejszego nieba ta połowa góry zdała mi się podobna do olbrzymiego czerepu objedzonego przez kirhy.

Popatrzyłem wokół siebie. Batangowie zsiadli już z grzywaczy, umieścili je w naprędcie zbudowanej zagrodzie i zajęci byli właśnie rozpinaniem wotoków na wysokich drewnianych palikach. Strażnicy świątyni budowali oddzielny obóz przeznaczony dla pakriego Kwapry. Sam Kwapra w towarzystwie mego ojca zmierzał właśnie ku mnie. Aszter postępował za nimi, tuż obok niego szedł jeden ze świątynnych empi trzymając niewielki pakunek owinięty w czarne sukno.

Zsiadłem z grzywacza, by wyjść im naprzeciw. Dzieliły nas nie więcej niż cztery kroki, kiedy Kwapra ruchem ręki kazał mi się zatrzymać. Wziął pakunek z rąk empi, dobył niewielki nosielnik napęczony przezroczystą cieczą i postąpił ku mnie. Kaptur miał teraz zsunięty w tył głowy i czarny kirh odcisnięty na czole kapłana spoglądał prosto na mnie. Przymknąłem oczy. Poczulem na powiekach chłodny dotyk palców, a zaraz potem po policzkach pociekło mi kilka kropel zimnego płynu.

– Przemywam ci oczy, byś zdołał dojrzeć to, co nie poznane –
wyrecytował pakri. – Przemywam ci uszy, abyś mógł posłyszeć słowa nie
wypowiedziane. Przemywam twe ręce, by były zdolne bronić cię w potrzebie.

Umilkł. Słyszałem, jak szeleszcząc płaszczem oddala się niespiesznie.
Otworzyłem oczy. Stał kilka kroków ode mnie i odwrócony plecami spoglądał
na grzbiety Samalaków. Wreszcie poruszył się, opróżnił do końca nosielnik
znacząc ziemię w trzech miejscach, zbliżył się do mnie.

– Trzy szczyty spotkały się w jednym, ogień dnia przygasa. Czas na
ciebie, Mikorze.

Nie pojąłem znaczenia jego dziwnej mowy, lecz nie śmiałem zapytać.
Uznał widocznie, że zbyt długo zwlekam z odejściem, bo odezwał się
stanowczo:

– Dzień ma się ku końcowi. Jeśli noc zastanie cię w drodze, nigdy nie
dojdiesz do celu.

Pokłoniwszy się niezdarnie, odwróciłem się, by rozpocząć wspinaczkę.
Zrobiłem ledwo pierwszy krok, kiedy dobiegło mnie wołanie ojca:

– Wstrzymaj się jeszcze, Mikorze, chcę ci coś podarować.

Doszedł do mnie spiesznie i zdjął z palca napastrnik wysadzany
astyksem, czerwonym jak świeżo upuszczona czerw. Nałożył mi napastrnik na
największy palec.

– Dostałem go od ojca. Ma moc ochrony przed złem. Noś go przy
sobie, a nic ci się nie stanie. – Ściszył głos do szeptu: – Tylko ty mi zostałeś,
Mikorze.

Patrzyłem, jak się oddala, po czym ruszyłem w kierunku kamienistego
stoku. Tuż u podnóża góry wznosiły się skaliste iglice wysokości rosnącego
męża. Stały jedna obok drugiej, jakby ktoś powbijał gęsto w ziemię kamienne
dzirgyty. Przedarłem się przez nie bacząc pilnie, by nie rozerwać ubrania i
wreszcie stanąłem na zboczu. Musiałem posuwać się teraz nadzwyczaj
ostrożnie, bo nieopatrzne stąpienie na któryś z luzem leżących kamieni
groziło osunięciem się w dół, prosto na skaliste iglice. Przebyłem jedną trzecią
drogi, kiedy powietrze przeszył przeraźliwy ryk. Hałas dochodził z dołu.

Stałem i rozglądając się gorączkowo, szukałem przyczyny zamieszania. Po chwili pojąłem, co się stało: batangowie zarzynali jednego z mlaskurów. Płonęły już trzy ogniska, nad każdym przeciągnięto długi dzirgyt na drewnianych podpórkach. Skoro mlaskury przywiedziono tu dla mięsa, cóż stać się miało ze skrzynią, którą przydźwigały na grzbietach? Co kryło jej wnętrze?

Te i podobne pytania zaprzętały mi głowę, kiedy o zmierzchu dotarłem na szczyt góry. Rozejrzałem się wokół z uwagą, lecz i tu nie dostrzegłem najmniejszych oznak życia. Przyspieszyłem kroku. Nie szedłem długo, gdy raptem stanąłem nad brzegiem płytkiej niecki, która kryła czarny watrok pokryty białymi znakami. Zszedłem łagodnym zboczem niecki i zatrzymałem się przed watrokiem.

Przewyższał mnie o całą moją wysokość i liczył równe osiemnaście kroków w obwodzie. U samej góry watroku, skierowane na cztery strony świata, białe krągłe znaki podobne do otwartych oczu. Na wysokości mej głowy, na całej powierzchni namiotu biegły wycelowane ku niebu długie wąskie strzały. Kiedy zatoczyłem pełny krąg i wróciłem do punktu wyjścia, przyjrzałem się malowidłu, które od początku przykuwało moją uwagę. Dwie grube białe linie wychodziły tuż nad ziemią i biegnąc ku sobie spotykały się w jednym punkcie, nie przecinając się wszakże, podobne do trójkąta, lecz pozbawione podstawy. Na ramionach owego trójkąta spoczywał mniejszy trójkąt, ten zaś stanowił oparcie dla trzeciego. Choć różnej wielkością i kształtem, tworzyły jedną całość. Patrząc na nie przypomniałem sobie niedawne słowa Kwapry: „Trzy szczyty spotkały się w jednym”. Wyciągnąłem rękę i nacisnąłem ścianę watroku na wysokości drugiego trójkąta: skórzana kłapa ustąpiła pod naciskiem, odsłaniając ciemne wnętrze. Pierwsze gwiazdy świeciły już na niebie, kiedy wsunąłem się do środka.

Wewnątrz panował mrok, w którym widziałem ledwie zarys własnych dłoni. Posuwając się po omacku, kierowałem się instynktownie ku centralnej części watroku. Szczęśliwie dotarłem tam bez żadnych przygód. Przykucnąłem, wymacałem rękami ubite podłoże i usiadłem. Chłód nocy

zaczął dawać o sobie znać. Jak przykazał Kwapra, miałem na sobie jeno lekkie przyodziewek – na plecach cienką płócienną mikę, na nogach długie nargoty z wiosennego runa berkirów. Podciągnąłem kolana pod brodę, wtuliłem głowę w ramiona. Jąłem głośno powtarzać fragmenty Księgi, by zachować przytomność ciała i umysłu. Zmęczenie okazało się jednak silniejsze – anim się spostrzegł, kiedy zasnąłem głębokim snem. Obudziło mnie dokuczliwe zimno i głód. Podniosłem się z trudem, rozprostowałem zdrętwiałe członki. Przez skórzane ściany wotroku przebijało blade światło wstającego dnia. Rozejrzałem się po wnętrzu wotroku. Zbudowany był na tradycyjną modłę: cztery długie grube drzewca, wbite pochyło w ziemię, zbiegały się u góry, gdzie obwiązane były mocną rzeczną trawą; tak przygotowany szkielet obciążnięto poszyciem z łączonych skór czarnych mlaskurów, sierścią do wewnątrz. Wotrok był zupełnie pusty, jeśli nie liczyć niskiego siedlika po lewej stronie wejścia. Wiedziony ciekawością, zbliżyłem się do siedlika. Stał na nim gliniany nosielnik wypełniony nieznanymi liśćmi. Wziąłem kilka do ręki i obejrzałem: były niewiele większe od paznokcia, ciemnozielone od wewnątrz, na reszcie powierzchni jasne, pokryte drobnymi czarnymi cętkami. Lepkie w dotyku, miały miłą woń; wystarczyło wszakże delikatnie je potrząść, a zaczynały wydzielać lekko duszący zapach. Odłożyłem je, wytarłem ręce w odzienie i pośpiesznie wyszedłem przed wotrok, bo zebrane przez noc wody dopominały się ujścia.

Bezchmurne niebo zapowiadało pogodny dzień. Oddaliłem się kilka kroków i stanąwszy tyłem do wotroku zrosiłem ziemię nocnymi wodami. Poczulem ulgę. Odwróciłem się zaraz, by zgodnie z przykazaniem Kwapry powrócić do miejsca wykluczni; zdążyłem zrobić dwa kroki, gdy potknąłem się o coś. Przykucnąłem i uważnie obejrzałem to miejsce: z ziemi wystawało coś, co w pierwszej chwili wziąłem za skalny odłamek. Kiedy począłem odgarniać rękami wierzchnią warstwę piasku, ujrzałem obiekt nazbyt krągły, by stworzyć go miał wiatr i czas. Poszukałem płaskiego kamienia i posługując się nim odkopałem znalezisko. Oczyszczyłem je i obejrzałem z rosnącą ciekawością. Trzymałem w ręku raziec, lecz tak rzadkiego kształtu, że

podobnego nie widziałem u żadnego z batangów. Krągła gałka u szczytu rękojeści osadzona była na prążkowanym poprzecznie uchwycie, który kończył się osłoną w kształcie wywiniętego z obu stron ku dołowi liścia drzewa banu. Najbardziej wszelako zadziwiło mnie ostrze. Miało długość męskiego ramienia i miał biec prosto, zwijało się zygzakowato na podobieństwo pełzającego ranga. Środkiem ostrza, równie kręta jak ono samo, wiła się żłobkowana czarna pręga, która u samego dołu oplatała ostrze grubym potrójnym pierścieniem.

Ważylem raziec w dłoniach i zastanawiałem się gorączkowo, co powinienem począć. Miałem złamać prawo wykluczni i wziąć raziec ze sobą? Kwapra zabronił mi zabierać w drogę jakiegokolwiek broni. Z drugiej wszak strony nie łamałem świętych zakazów, skoro raziec znalazłem na miejscu. Czy miałem prawo go porzucić? Zdawał mi się zbyt cennym znaleziskiem, bym ja sam miał decydować o jego losie. Powróciłem uspokojony do wotroku. Usiadłem obok siedlika, w miejscu, gdzie jedno z czterech drzewc dawało mi wygodną podporę. Raziec ułożyłem przy prawym boku. Wystarczyło opuścić rękę, bym mógł go w każdej chwili dotknąć.

Czas płynął nieskończenie wolno, a mnie przyszło się zmagać z własną słabością, głodem i pragnieniem. Wkrótce doszedł mi kolejny przeciwnik: upał. Oddychałem z trudem, marzyłem o kropli wody i oczekiwałem z utęsknieniem nadejścia wieczoru. Kiedy jednak w końcu nastał, wraz z nim pojawił się chłód. Pan, który sprawił, że po skwarze dnia nastaje lodowaty ziąb, w swym doskonałym dziele stworzenia przeznaczył nam miejsce tak mizerne i obdarzył słabą powłoką. Gdybym chociaż mógł oszukać czymś głód.

Ta myśl przypominała mi o czymś. Wyciągnąłem rękę i macając w ciemnościach odnalazłem siedlik, a na nim gliniane naczynie. Postawiłem nosielnik obok siebie, ująłem szczyptę liści i skosztowałem. Były gorzkawe, wystarczyło wszakże pożuć je dłużej, by w ustach pozostał słodkawy smak. Tym razem zaczerpnąłem sporą garstkę. Żulem je powoli, miękka papka dawała uczucie sytości. Czerw poczęła mi żywiej krążyć po ciele, wróciło ciepło. Naraz zdało mi się, że patrzę na siebie z góry. Zakręciło mi się w głowie. Przetarłem oczy, ale zawrót głowy nie mijał. Wirowałem coraz

szybciej, z każdym obrotem osuwałem się coraz niżej. Zapadłem się w czarną pustkę.

Odgłos grzmotów przybliżał się. Zadarłem głowę szukając zapowiedzi burzy. Niebo było pogodne, lecz dudniące grzmienie stanowiło nieomylny sygnał, że burza musi być blisko. Rozglądałem się właśnie za miejscem, gdzie mógłbym przeczekać ulewę, gdy nagle ziemia zadrżała. Zdjęty strachem chciałem rzucić się do ucieczki, ale nogi odmówiły mi posłuszeństwa. Na szczycie wzgórza pojawiła się rozpedzona kula. Tocząc się nabierała prędkości i zbliżała się ku mnie, przyoblekała się w realne kształty. Widziałem olbrzymi łeb pokryty grzebieniem ostrych wypustów, rangowaty ogon najeżony szpikulcami, cztery potężne łapy dźwigające wielkie jak góra cielsko. Prawie czułem na twarzy zgniły oddech bestii.

W tym momencie powróciłem do przytomności. Wciąż siedziałem w wotroku, przez skórzane ściany prześwitywało światło dnia. Z zewnątrz dochodził odgłos kroków: ktoś bardzo szybko biegł. Nie to jednak w tej chwili zajmowało moją uwagę. Na wprost mnie, nie dalej niż o trzy długości ramienia, poruszała się głowa ranga. Paszczę trzymał rozwartą i posyкуюc sunął powoli w moją stronę. Nie odrywał żółtych ślepiów od naparstnika z astyksiem na moim palcu. Czerwony blask kamienia zdawał się go onieśmielać. Spostrzegłem, że ściskam w dłoni rękojeść rażca; przyciągnąłem broń szybkim ruchem. Bestia ruszyła do ataku. Poderwałem się zwawo, uskoczyłem w bok i nie mierząc zadałem od góry uderzenie w miejsce, gdzie chwilę wcześniej siedziałem. Pan widać prowadził mi rękę: ostrze wbiło się w cielsko ranga tuż poniżej głowy bestii.

W tym właśnie momencie klapa wotroku uniosła się i do środka wpadł Aszter. Twarz miał nabrzmiałą od wysiłku, długi warkocz puszczone luzem, ubranie w nieładzie. Oddychając ciężko, spoglądał to na mnie, to na cielsko gada. Upewniwszy się, że nic mi nie grozi, usiadł ciężko na ziemi.

– Niestety... – wysapał. – Twój ojciec, Mikorze... Beros okrutnie go poharatał.

Wysłuchałem ze ściśniętym sercem opowieści Asztera. Zdziwiłem się usłyszawszy, że spędziłem na górze Ałtu trzy noce i dwa dni; widocznie za sprawą spożytych liści na tak długo zapadłem w sen. A oto, co się wydarzyło. Batangowie przeczesując ostatniego wieczoru las po wschodniej stronie, odkryli legowisko berosa. Ojciec na wieść o tym dziś z samego rana wyprawił się na zwierza, zabierając ze sobą dwóch wojowników, by pomogli mu oprawić zdobycz. Poprzysiął sobie, że nie wróci z niczym i dopełni wreszcie tradycji wa-ra batang-ati. Niestety chciało, że beros obudzony przez głód wstał wcześniej z legowiska. Jednym ciosem łapy rozplątał głowę batangowi, który pierwszy znalazł się na jego drodze. Ojciec dźgnął berosa dzirgytem w bok, ale ten otrząsnął się tylko. Rozjuszony powalił ojca na ziemię, po czym zaczął nim rzucać niczym ścierwem. Byłby rozszarpał go na strzępy, gdyby nie Aszter, który wraz z czwórką batangów od początku podążał potajemnie za warongiem, by w razie potrzeby przyjść mu z pomocą. Widząc, co się dzieje, puścił się pędem i jeszcze w biegu cisnął wojenny topór tak wprawnie, że ostrze rozłupało berosowi czaszkę. Hisab niewiele zachował w sobie żywota. Prawe ramię miał rozharatane do kości, żebra połamane, w brzuchu głęboką ranę.

– Źle z nim, Mikorze, naprawdę źle. Stracił dużo czerwi i okrutnie osłabł, zioła i omasty Kwapry nie na wiele się przydają. W malignie powtarza bez przerwy imiona twych zmarłych braci. Kiedy przytomnieje, wciąż przyzywa ciebie. Musisz wracać, Mi.

Wypowiadając jeszcze te słowa Aszter wstał, nachylił się nad znieruchomiałym rangiem i zatrzymał wzrok na raźcu. Widziałem, jak ogląda ze zmarszczonym czołem zdobną gałkę i rękojeść. Wyprostował się wreszcie, popatrzył na mnie uważnie.

– Skąd masz ten raziec?

Opowiedziałem mu pokrótce całą historię, kończąc na niespodziewanym pojawieniu się ranga w watroku. Kiedy umilkłem, pokiwał w zadumie głową.

– Trudno prześledzić ścieżki, którymi porusza się Pan. Zesłał na ciebie nieszczęście, ale pozwolił ci wyjść zwycięsko z próby w sposób, który przydaje ci rzadkiej chwały. Uwierz mi, Mikorze, niejeden...

Nie dokończył, bo rang nagle ożył. Wijąc się w zygzakowatych skrętach syczał przeraźliwie i wyrzucał z pyska zieloną pianę. Nie trwało to długo. Osłabł, zaczęły nim wstrząsać śmiertelne drgawki, wreszcie znieruchomiał na dobre. I naraz na naszych oczach zaczął się przeobrażać: w połowie zachował gadzią powłokę, lecz od miejsca, gdzie przeszył go raziec, jął przybierać ludzką postać. Płaski łeb przechodził w pokryty łuskami bezręki korpus, z którego miast ogona wyrastały dwie ludzkie nogi. Żołądek podszedł mi do gardła.

Aszter mocnym szarpnięciem wyciągnął tkwiący w cielsku raziec. Popatrzył bez słowa na martwą już maskarę, obejrzał z bliska broń.

– Trzy znaki – powiedział jakby do siebie. – Trzy znaki spotkały się w jednym...

Zadrzałem, tak niezwykle zdało mi się podobieństwo słów Asztera do słów, którymi pożegnał mnie Kwapra.

Aszter wyciął rażcem ze ściany watroku dużą płachtę, owinał w nią gadzią maskarę, pakunek zarzucił na plecy. Wyszliśmy z watroku i skierowaliśmy się w dół zbocza. Słońce świeciło nam prosto w twarz, ale lekki wietrzyk dawał ochłodę.

Oczekiwano naszego powrotu. Ledwo zeszlśmy ze stoku, ujrzelśmy podążający w naszą stronę orszak. Na czele szedł Nersefit, tuż za nim czterech batangów. Aszter na ich widok przyspieszył kroku. Nersefit przywitał mnie lekkim ukłonem. Spostrzegł raziec, który zatknąłem za pasem, lecz nic nie rzekł. Nie spytał też, co kryje dźwigany przez Asztera pakunek.

Aszter odezwał się pierwszy:

– Jakie wieści, Nerseficie?

– Nie najlepsze. Kwapra zatrzymał upływ czerwi, ale rany wciąż się otwierają.

– Warong jest przytomny?

– Powoli wraca mu świadomość. – Nersefit spojrział na mnie przynaglająco. – Cały czas przyzywa ciebie, panie. Nie traćmy czasu, ruszajmy.

Przed królewskim watrokiem pełniło wartę pół tuzina batangów w pełnym rynsztunku bojowym. Jeden ze strażników świątyni ugniatał w drewnianym nosielniku wyschłe liście i małe główki nieznanych mi owoców. Grzywacz ojca, przywiązany w cieniu drzewa, przebierał niecierpliwie kopytami. Pierwszy wszedłem do watroku. Aszter i Nersefit podążyli za mną, batangowie zostali na zewnątrz.

Ojciec leżał na łożu sporządzonym naprędce z gałęzi i skór mlaskurów. Wokół łoża porozwieszane były wiązki kwiatów oraz zioła przeróżnej barwy i wielkości. Lewe ramię miał owinięte w płótno, prawe obłożone dużymi zielonymi liśćmi barbiru, które ściągały gorączkę i pomagały w gojeniu ran. Na mój widok próbował poruszyć głowę, uśmiechnął się blado. Podbiegłem do niego i przyklęknałem.

– Wszystko będzie dobrze, Mikorze – wymamrotał. – Rozmawiałem dzisiaj z twoją matką. To dobra kobieta i bardzo cię kocha....

Wysłuchałem tych słów ze ściśniętym sercem. Czy bredził za sprawą gorączki, czy zaglądał już może do świata umarłych?

– A więc wróciłeś – dobiegł mnie z boku głos Kwapry.

Spojrzałem w stronę, skąd dochodził głos: Kwapra stał w odległym kącie watroku i trzymał w ręku miedziany nosielnik, z którego unosił się ciemny dym. Zbliżył się do łoża ojca. W nozdrza uderzyła mnie słodkawa woń palonych ziół. Kwapra okrążył łoże, zatrzymując się w każdym z czterech rogów i okadzając chorego ziołami. Skończywszy postawił nosielnik na ziemi i odwrócił się ku mnie.

– Nie obwiniam cię, Mikorze, że przerwałeś próbę wykluczni. Powód cię usprawiedliwia. Widać Pan tak chciał. Za rok ponownie przystąpisz do próby i ufam, że znak będzie ci dany.

– Wstrzymaj się z osądem, czcigodny. – Aszter wystąpił przede mną. – Byłem na górze Ałtu i mogę zaświadczyć, że Mikor dopełnił próby wykluczni.

– Cóż tobie o tym wiedzieć!

– Przynoszę tylko świadectwo tego, co sam widziałem.

Mówiąc to zrzucił owinięty w skórę ciężar. Wziął ode mnie raziec i jednym cięciem odsłonił łeb ranga. Kwapra cofnął się pół kroku. Nersefit zbliżył się do gada, spojrzął na mnie i pokręcił głową z niedowierzaniem. Aszter uniósł broń rękojeścią do góry, aby wszyscy mogli ją lepiej widzieć.

– Pan przemówił do Mikora nie raz i nie dwa, lecz po trzykroć – oznajmił z mocą w głosie. – Posłał ranga, by Mikor dał świadectwo odwagi. Nadto zesłał mu raziec, by zdołał gada pokonać. – Popatrzyl dokoła. – A broń to niezwykajna, tak jak niezwykajny był rang, który od niej zginął.

Podał raziec Nersefitowi, a sam nachylił się i energicznym ruchem rozwinął skórę. Maszkara potoczyła się pod nogi Kwapry. Kapłan pobladł straszliwie, zachwiał się. Aszter tymczasem przekonywał dalej:

– Gad przebity przez Mikora cudownym ostrzem, na mych oczach przybrał postać monstrum, pół-ranga, pół-człowieka. Oceń sam, czcigodny, ile w tych trzech znakach działania Pana, a ile starań człowieka.

Kwapra milczał uparcie. Nieoczekiwanie odezwał się Nersefit, który zdążył obejrzeć raziec i wydawał się bardzo poruszony:

– Widzę linię, która oplata czubek potrójnym pierścieniem, a dalej biegnie przez całą długość ostrza pojedynczym tropem. Trzy znaki spotkały się w jednym. – Dowódca królewskiego hufca spojrzął po kolei na Asztera i Kwaprę. Zatrzymał na dłużej spojrzenie na kapłanie. – Jeden był tylko raziec podobny do tego. I jeden jest sposób, by dowieść, czy opowieść Mikora jest prawdziwa...

– Melkam... – przerwał mu słaby szept. Zwróciliśmy głowy w stronę łoża Hisaba. Krzywiąc się z bólu unosił się na łokciu zdrowej ręki, by lepiej nas widzieć. – Jafter... raziec Melkama... – wystękał. Opadł z powrotem na łoże i oddychając chrapliwie, patrzył przynaglająco na Nersefita.

Nersefit skinął głową.

– Jako rzekłem, jeden jest sposób, by dowieść prawdziwości historii Mikora. Poddajmy raziec próbie kamienia.

Na rozkaz Nersefita batangowie wynieśli chorego z łóżem przed watrok. Podążyliśmy za nimi.

Wieść o niezwykłym wydarzeniu rozeszła się lotem błyskawicy i ze wszystkich stron obozu nadciągali żołnierze. Z ust do ust powtarzano sobie relację o potworze w skórze ranga, o mym niezwykłym wyczynie i o magicznym raźcu Melkama. Kiedy Nersefit stanął przed łóżem chorego, zapadła cisza. Ojciec długo wpatrywał się w ostrze: wodził wzrokiem po zdobieniach gałki i rękojeści, badał każdą skazę i najdrobniejszy detal. Na koniec skinął głową i przymknął powieki. Po twarzy spływały mu łzy.

Nersefit wybrał kamień sięgający mu prawie do kolan. Chwycił raziec w prawą rękę, uniósł ostrze wysoko nad głową i zamachnął się. Nie wierzyłem własnym oczom: Nersefit stał nad rozlupanym na wpół kamieniem i trzymał w ręku nietknięty raziec. Odczekał, aż głosy zdumienia ucichną, po czym zawołał donośnie:

– Oto raziec Melkama!

Krzyk podniósł się tak wielki, że skrzydlacze z okolicznych drzew zerwały się do lotu. Nersefit podał mi raziec i pochylił przede mną głowę. Spuściłem oczy zawstydzony. Kiedy odważyłem się podnieść wzrok, spojrzenia wszystkich były skierowane na Kwaprę. Kapłan wyciągał ręce ku Samalakom i mówił:

– Widząc znaki, które Mikor otrzymał z woli Pana, na mocy powierzonej mi władzy oznajmiam, że Mikor dopełnił próby wykluczni. Nim zajdzie słońce, zbierzemy się, by dokonać ceremonii Inget Martali. – Po tych słowach odszedł spieszenie w kierunku swego watroku.

Złapałem Asztera za rękaw kaftana.

– Powiedz mi, Aszterze, co oznacza Inget Martali?

– Trudno to objaśnić, Mikorze – zaczął z wahaniem. – Przyjdzie pora, sam zobaczysz i zrozumiesz.

– Tylu rzeczy nie wiem, tak wielu spraw nie rozumiem. –

Westchnąłem. – Chyba wciąż jeszcze jestem tylko małym chłopcem. Boję się...

Położył mi dłoń na ramieniu.

– To znak, że doroślejesz. Kto potrafi przyznać się do strachu, przestał być dzieckiem. Nie wstydź się uczuć, Mikorze. Strach wydobyty z ukrycia traci niszczycielską moc i otwiera pole mądrej odwadze.

Podziękowałem Aszterowi za słowa otuchy i pod pozorem zmęczenia oddaliłem się do królewskiego wotroku. Przysiadłem na ziemi przy łożu ojca, wziąłem w rękę jego chłodną dłoń. Trwałem tak przy nim, aż zasnął. Zostałem sam ze swoimi myślami. Nie wiedzieć czemu targał mną niepokój. Radość z odniesionego zwycięstwa mąciło przeczucie czegoś, co miało wkrótce nastąpić a przed czym broniłem się podświadomie. Raptem przypomniałem sobie słowa Asztera o strachu i odwadze i zdałem sobie sprawę, że nie jestem sam ze swoimi lękami. Oparłem głowę na łożu, wtuliłem się w skóry. Nie spostrzegłem nawet, kiedy zmorzył mnie sen.

Przyśniło mi się, że spotkałem Melkama. Zszedł z wysokiej góry i zmierzał ku mnie. Długie włosy miał rozpuszczone, jakby nie zdążył jeszcze spleść warkocza. Rosły niczym drzewo banu, kroczył zwinnie jak manbesa. Dziwne mi się zdało, że mąż takiej sławy przybywa spotkać się ze mną. Wyciągnął rękę i wówczas ujrzałem, że trzyma w niej razięć kręty jak ciało ranga. Wziąłem razięć i zacisnąłem palce na rękojeści, w obawie, że nienawykły do noszenia broni upuszczę ją i stracę na zawsze. Od uścisku zabolęła mnie dłoń. Piekący ból wędrował w górę ramienia. Tymczasem Melkam odwrócił się i począł się oddalać. Był już daleko, gdy dobiegły mnie słowa:

– Zły to znak...

Otworzyłem oczy. Nade mną stał pakri Kwapra i szarpiąc mnie za ramię próbował mnie dobudzić. Prawą rękę zaciskałem na ostrzu rażca z taką siłą, że aż pociekła czerw. Kwapra patrzył na mą skaleczoną dłoń i kręcił głową:

– Zły to znak – powtórzył.

Wprawnie opatrzył mi ranę. Następnie przyklęknął przy łożu ojca, wydobył ukryte w fałdach czarnej szaty szkiełko i przy jego pomocy obejrzał

mu źrenice. Wynik oględzin mocno go zaniepokoił: gorączka wróciła, a osłabły organizm nie był w stanie jej zwalczyć. Podał choremu napar na spędzenie gorączki, do którego domieszał szczyptę ziół mających zapewnić mocny sen. Nareszcie mógł zająć się moją osobą. W asyście dwóch empi przystąpił do przebierania mnie w strój, w którym miałem wystąpić na Inget Martali. Założyli mi białą mikę z przedniego płótna sięgającą za kolana, przepasali pasem tegoż koloru, na to zarzucili mi biały płaszcz, na koniec zaś okryli mnie płaszczem czarnej barwy. Zatknąłem raziec za pas i podszedłem do ojca. Spał twardo, zmorzony gorączką i nasenną miksturą. Pogłodziłem go po dłoni, obiecując sobie powrócić jak najszybciej i trwać przy nim do rana.

Aszter czekał na mnie u wejścia do wotroku. Ruszyliśmy kierując się ku wschodniemu zboczowi góry. Kwapra kroczył przodem, ja z Aszterem szedłem tuż za nim, dwaj strażnicy świątyni postępowali kilka kroków w tyle. Tak dotarliśmy do stoku Ałtu, gdzie zgromadziły się już dwie dziesiątki batangów. Rozstąpili się, by nas przepuścić, po czym zwarli z powrotem szereg.

Kwapra oddalił się o trzy kroki, zwrócił twarz ku szczytom Samalaków i zaintonował pieśń. Próbowałem rozróżnić w niej słowa, lecz dźwięki nie były podobne do mowy Kambriddów. Naraz spostrzegłem, że od strony obozowiska Kwapry zbliża się jeden ze strażników świątyni, wiodąc ze sobą ubraną na białą postać. Pakri krzyczał teraz bardziej, niż śpiewał. Kiedy dwoje przybyszów zatrzymało się przed nim, umilkł raptownie.

W tym momencie pojąłem, jaką tajemnicę skrywała skrzynia, która na grzbietach mlaskurów przywędrowała razem z nami z Mendery. Patrzyłem na twarz zjawy i nie mogłem się nadziwić niezwyklej bladości skóry i jasnej barwie włosów. Nie była jeszcze bielką, lecz dziewczęciem zaledwie, tak drobnym i chudym, że długi biały płaszcz zdawał się być dla niej nazbyt dużym ciężarem. Na moment jej jasnyniebieskie oczy zatrzymały się na mnie. Odwróciła szybko głowę i zgarbiła się.

Na znak Kwapry dwaj empi zdjęli ze mnie czarny płaszcz i ubrali w niego dziewczynę. Wzięli ją pod ręce, precisnęli się przez skaliste iglice u

podnóża góry i zaczęli wspinać się po stoku. Nie kierowali się ku szczytowi: skręcili w prawo i po krótkiej wspinaczce zatrzymali się w miejscu, które stanowiło najwyraźniej cel ich wędrówki.

Ze zbocza góry wychodziła szeroka skalna półka długa na dziesięć kroków. Wydawała się wisieć w powietrzu, w dole zaś sterczały skalne iglice. Na nią właśnie weszli.

Przywołałem do siebie Asztera.

– Co to ma znaczyć, Aszterze? – zapytałem.

– Kiedy w domu waronga rodzi się męski potomek, władca rozsyła posłańców po całym królestwie z zadaniem odszukania dziecka, które przyszło na świat tego samego dnia i o tej samej godzinie. Dziecko takie dorasta pod opieką kapłanów. Opuszcza świątynne mury tylko na czas Inget Martali, by odegrać przypisaną mu rolę.

– Jakaż to rola?

Aszter spochmurniał. Zwlekał z odpowiedzią, aż musiałem go przynaglić.

– Inget Martali to ceremonia „przeniesienia winy”. Praktykowana jest wobec królewskiego potomka, który z racji urodzenia jest pretendentem do tronu. Kiedy przejdzie pomyślnie przez próbę wykluczni, odbywa rytuał oczyszczenia z grzechów, by stać się w pełni godnym królewskiego urzędu. To prastary obyczaj, Aszterze, wprowadzony jeszcze za czasów Melkama.

Nie odrywałem wzroku od dziewczyny. Stała na skraju skalnego występu podtrzymywana przez dwóch strażników świątyni, wiatr targał jej czarny płaszcz.

– Co się z nią stanie? – spytałem.

– Jeden jest sposób, by grzechy, które na siebie wzięła, zostały zgładzone.

– Ma zapłacić śmiercią za moje oczyszczenie? Czy Stworzyciel jest tak okrutny, by żądać ofiar tej miary?

– W Księdze Kri nie znajdziesz słowa o Inget Martali. Ceremonię ustanowił nie Pan, lecz kapłani.

– Skoro nie dali życia, nie mają prawa go odbierać! – zawołałem nie panując nad sobą. Kwapra odwrócił się i zmierzył mnie surowym spojrzeniem.

– Uciszyć się, Mikorze! – syknął Aszter.

Było już za późno. Moje słowa usłyszeli wszyscy i powtarzali je sobie teraz wzburzonym szeptem, nie dowierzając jeszcze, że ośmielałam się sprzeciwiać wyrokowi świątyni. Kwapra mruczając słowa modlitwy zaczął powoli unosić ręce.

Nie bacząc, co czynię, rzuciłem się, by go powstrzymać. Czyjeś silne ręce osadziły mnie w miejscu.

– Co robisz, głupcze? – usłyszałem ściszony szept Asztera. – Nie masz władzy nad kapłanami świątyni. Tylko warong jest władny wydawać pakriemu rozkazy.

Uwięziony w żelaznym uścisku Asztera przyglądałem się bezsilnie, jak Kwapra zatacza rytualny krąg: drobnymi krokami odmierzał drogę życia, na końcu której nieuchronnie ściele się linia śmierci. Kolana drżały mi jak w gorączce.

Nagle rozległo się donośne wołanie. Wszyscy spojrzeli tam, skąd dobiegał głos: od królewskiego obozowiska pędził na grzywaczu jeden z postawionych na straży batangów. Zeskoczył w pełnym galopie z grzywacza, upadł na kolana przed Nersefitem i przerywanym głosem zawołał:

– Nieszczęście, waba! Warong Hisab nie żyje!

Nersefit chwycił batanga za kołnierz kaftana.

– Co pleciesz, nieszczęsny! – ryknął.

– Spał pogrążony w głębokim śnie. Wtem poderwał się, zawołał straszliwym głosem i upadł bez czucia na łoże. Czerw chlusnęła mu z ust, w kilka chwil skonał... Ukarz mnie, panie, ale klnę się na Stworzyciela, że nie nasza to wina!

Kwapra zaintonował modlitwę za umarłych. Miałem teraz wrażenie, że uczestniczę w widowisku przeznaczonym nie dla mnie i nie mnie dotyczącym. Słyszałem słowa, lecz nie pojmowałem ich znaczeń. Pienia modlitwy mieszały się z żalobnym śpiewem batangów i z rytmicznym bębnieniem skórzanych

tamaraków. Głos Kwapry przebijał się ponad inne dźwięki. Poddawałem mu się, nie znajdując w sobie dość siły, by uwolnić się od jego mocy. W końcu pakri skończył modlitwę i odwrócił się twarzą do skalnej półki, na której stała drobna postać okryta czarnym płaszczem. Zacisnąłem powieki.

Naraz poczułem, jak Aszter sztywnieje i posłyszałem jego dźwięczny głos:

– Wstrzymaj się, czcigodny, by dać pierwszeństwo swemu władcy. –
Dobyl zza mego pasa ramię, wznosił broń nad głową i zawołał: – Warong Hisab nie żyje. Niech żyje warong Mikor!

Okrzyk Asztera podjęły z ochotą dwa tuziny batangów. Kiedy chór głosów ucichł, Nersefit wystąpił przed szereg swych żołnierzy, stanął obok mnie i przemówił:

– Uznajemy w Mikorze następcę waronga Hisaba. Jego słowo jest dla nas prawem i jemu winniśmy posłuszeństwo. Co rzekł, niech się stanie.

Kwapra opuścił ręce.

– Pan widzi, że gotów jestem trwać na straży Jego przykazań. Jeśli prawo Jego zostało złamane, nie moja to, lecz wasza wina. – Spojrzał na mnie i zakończył z groźbą w głosie: – Zły to władca, co lud swój odciąga od świętych zwyczajów. Pan upomni się o należne mu zaszczyty.

Odszedł spieszonym krokiem wzbijając za sobą kurz. Na znak Nersefita dwóch wojowników wspięło się na stok, by sprowadzić na dół dziewczynę. Słońce zniżało się nad szczyty Samalaków, gdy w żalobnym milczeniu ruszyliśmy ku obozowisku.

Tego samego wieczoru batangowie zarżnęli ostatniego z dwóch mlaskurów i zebrali drewno. Przygotowania trwały całą noc. Przy świetle ognisk budowano wysoki pogrzebowy stos u stóp Ałtu. Oddzielano mięso mlaskura od kości, najprzedniejsze porcje szatkowano raźcami i tak długo obrabiano, aż nadano im potrzebną kruchość. Kirhy zwabione zapachem czerwi zaczęły ścigać jeszcze nocą. Niewidoczne na tle czarnego nieba, nadlatywały bezgłośnie i obsiadały okoliczne skały i gałęzie drzew.

Pakri Kwapra i strażnicy świątyni trwali na modłach przy zmarłym aż do rana. Recytując żałobne wersety okrążali mary i okadzali ciało wonnymi ziołami. Zdziwiło mnie, że strażników jest tylko trzech – czwarty przepadł bez śladu. Aszter podał mi wyjaśnienie, jakie sam usłyszał od Kwapry: strażnik nie powrócił z nocnej wyprawy po zioła. Może rozszarpał go zwierz, może zmylił w nocy drogę i spadł w skalną szczelinę. Powtarzając mi słowa Kwapry, Aszter kręcił powątpiewająco głową.

Wraz ze wschodem słońca ciało Hisaba poniesiono na stos. Ubrany był w odświętny strój, który zamierzał założyć na Inget Martali: długą mikę z białego płótna przetykanego czerwoną nitką, kaftan ze skóry białego mlaskura, u dołu zdobiony kłami taroga, w górze obszyty płowym włosiem z grzywy manbesy. Uczesane w warkocz włosy oplatały głowę grubym splotem. Ręce miał skrzyżowane, na piersiach wojenny raziec, miecz i dzirgyt.

Kroczyłem obok niosących mary batangów i zadzierając głowę spoglądałem na ojca. Rysy miał ściągnięte, policzki pokryte ciemnymi krostami, jakby pokąsały go głodne czerwki mlasty. Kiedy mary złożono na ziemi, nachyliłem się nad ojcem, by go pożegnać. Na znak Kwapry strażnicy świątyni podnieśli mary ze zwłokami i ustawili je na stosie. Kwapra zaintonował pieśń pożegnania, po czym podpalił stos.

Kiedy zgasł ostatni płomień a wiatr ostudził niedopalone resztki drewna, empi pobierali zwęglone kości i popiół w nosielniki. Zawartość pojemników wysypali do kadzi z poszatowanym mięsem mlaskura, wymieszali wszystko starannie i z tak przygotowanego mięsa poczęli lepić kule. Skończywszy ułożyli mięsne kule na wystygłych zgliszczach stosu i odstąpili na bok.

Kirhy tylko na to czekały. Zleciały się do mięsa z jazgotem, obsiadły stos i walcząc ze sobą chwyciły łapczywie zdobycz. Kiedy pożarły ostatni kęs, wzbiły się ociężale w górę i odleciały w kierunku Samalaków, unosząc ze sobą doczesne szczątki mego ojca. Wiedziałem, że zanim słońce stanie wysoko na niebie, warong Hisab przekroczy szczyty gór i znajdzie się w Krainie Mons.

Mnie czekała zgoła inna droga. Wracalem do rodzinnej Mendery na czele królewskiego oddziału, strojny w szaty waronga i władny wydawać rozkazy. Do pasa miałem przytroczony razięc Melkama, u swego boku Asztera i Nersefita gotowych służyć mi wiernie. Królewski siedlec czynił mnie prawem i wyrocznią, kralec dawał mi panowanie nad światem.

Otuliłem się płaszczem, naciągnąłem na głowę kaptur. Zbierało mi się na płacz. Miałem zaledwie dziesięć lat i czułem się straszliwie zagubiony. Wiedziałem, że raz na zawsze pożegnałem się z dzieciństwem. Wkraczałem w świat, w którym poznałem niewiele pytań i jeszcze mniej odpowiedzi.

Pochyliłem się w siodle, naciągnąłem kaptur głębiej na oczy. Wiatr dawał mi się coraz bardziej we znaki.

Słowniczek wyrazów nowych i trudniejszych

- astyks* – czerwony kamień szlachetny
- banu* – długowieczne drzewo o potężnym pniu i rozłożystej koronie
- barbir* – roślina o dużych zielonych liściach, ściągających gorączkę i mających właściwości dezynfekujące
- batang* – wojownik, żołnierz
- batarang* – dowódca chorągwi
- Belin* – bożek Mammonitów, istota o dwóch obliczach
- belkot* – silny napój alkoholowy
- berkir* – owca
- beros* – niedźwiedź
- bielka* – kobieta
- bieta* – dom z drewna
- boruk* – zły duch, zamieszkujący głównie knieje
- burznik* – nieduży ptak o czarno-białym upierzeniu, zwiastun burzy
- chlaczkać* – gryźć; ciąć, przecinać
- czapiec* – królewskie nakrycie głowy, symbol władzy królewskiej
- czarnoskórec* – czarnoskóry sprzymierzeniec Mammonitów
- czerv* – krew
- czerwić* – krwawić
- dłubanka* – prymitywna łódź z odpowiednio wydrążonego pnia drzewa
- durian* – duży słodki owoc o barwie ciemnożółtej, czasem brunatnożółtej
- dzirgyt* – włócznia, oszczep, dzida
- empi* – strażnik świątyni
- głownik* – osoba przewodząca danej grupie pośledników
- grzywacz* – koń
- Inget Martali* – ceremonia „przeniesienia winy”
- kirh* – drapieżny ptak o czarnym upierzeniu, osiągający wielkość orła
- kniejarz* – myśliwy
- kopak* – narzędzie do kopania

kralec – królewski miecz, oznaka władzy
Kraq – rada starszych u Kambriddów
krąglak – koło
krepia – wiejska osada
krepok – mieszkaniec wsi, chłop
Kri – jedno z imion Stworzyciela
lepia – rodzaj bardzo słodkiego ciasta z dodatkiem miodu oraz innych smakowych składników
listok – bardzo cienki płat z kory, służący do pisania i rysowania
Makun – niewidzialna siła nieczysta, uosobienie złych mocy
Mammonici – wrogowie Kambriddów
manbesa – lew
marlin – krzaczasta roślina o czerwonych kwiatach, rodząca owoce o lekko cierpkim smaku
matryka – ziele pomocne na wiele chorób, którego korzeń służy za afrodyzjak
męczyk – rodzaj czerwonej mrówki, wszystkożerny; tworzy kopce
mika – koszula, rzadziej kaftan, z długimi rękawami
mlaskur – krowa
mlast – owad kęsający, żywiący się czerwią
moftan – kaftan, „zbroja” sporządzona z płytek z kamienia mofu
mofu – kamień wulkaniczny spod góry Ałtu
naparstnik – pierścień
nargoty – spodnie
nosielnik – naczynie, flakonik, buteleczka
obleń – robak, glista
omieszkać – zapomnieć
orężnik – wytwórca broni
osmułka – rodzaj placka z grubo mielonej mąki, wypiekanego w glinianych nosielnikach nad ogniskiem
ostoja – miasto, osada

ościeżnia – drzwi
ościeżnica – okno
pagost – krzaczasta roślina o drobnych parzących listkach
papat – jadalne warzywo, rodzaj ziemniaka
paśny – wypasiony, gruby; (o zwierzęciu) gotowy do uboju
pięcionóg – słoń
pleciak – prymitywne, plecione obuwie z wikliny
plawacz – ryba; każde stworzenie żyjące w wodzie
plawnia – duża łódź
plazugi – płozy, rodzaj bezkołowej konstrukcji do przewożenia ładunku
postrzygacz – poślednik zajmujący się stryżeniem berkirów
poślednik – krepok lub wyrobnik niskiego stanu i funkcji
przebaczyć – nie zauważyć, przegapić
rang – wąż
raziec – krótki miecz, rodzaj sztyletu
rong – książę
ródka – kobieta po porodzie
siedlec – królewski tron, oznaka władzy
siedlik – stółek, taboret; także rodzaj niskiego stołu
stirak – mysz
Stworzyciel – Stwórca
tamarak – skórzany bęben
taróg – duży jaszczur, odpowiednik dzisiejszego krokodyla
trawianka – łąka, polanka porośnięta trawą
ubojnik – rzeźnik, poślednik zajmujący się ubojem zwierząt
ugłowić (coś), ugłowić coś sobie – zrozumieć; pomyśleć; uzmysłowić sobie
ulap – lekarz
uwygodnić się – usiąść wygodnie, zająć wygodne miejsce
wabatang – „dowódca dowódców”, dowódca hufca królewskiego
wa-ra batang-ati – „ceremonia potwierdzająca narodziny wojownika”
warong – władca, król

warzelnik – poślednik biegły w wyrabianiu stawy i napojów

watrok – namiot ze skóry

włosiec – porastać włosami (również w znaczeniu osiągnięcia wieku męskiego)

wodniarz – poślednik mający w pieczy czystość pitnych źródeł

wyklucznia – „święte świętych”, miejsce w świątyni, gdzie przechowywana jest Księga Kri; również odosobnione miejsce przygotowujące do duchowego oczyszczenia i przemiany

zendo – smok